

The image shows the front cover of a book. The background is a marbled paper with a pattern of swirling, organic shapes in shades of dark green, teal, and brown, accented with gold. A vertical strip of a different, lighter marbled paper is visible on the left edge. In the center, there is a dark red rectangular label with a thin gold border. The text on the label is printed in a stylized, white, serif font.

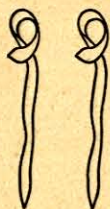
ADOLF NIEDWERT
NOWACZYŃSKI
FACECYE SOWI,
ZDRZAŁSKIE

FACECYE
SOWIZDRZALSKIE

ADOLF NEUWERT NOWACZYŃSKI

FACECYE
SOWIZDRZALSKIE

O LUDZIACH PIÓRA, PĘDZLA, NOŻYC
DLA LŪDZI PIÓRA, PĘDZLA, NOŻYC



ODBITO W KRAKOWIE 1903 R. NAKŁADEM
I CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ

P. P.

WACŁ. BERENTOWI
WŁAD. BUKOWIŃSKIEMU
WILH. FELDMANOWI
ART. GÓRSKIEMU
WŁAD. JABŁONOWSKIEMU
FEL. JASIEŃSKIEMU
CEZ. JELLENCIE
JÓZ. KOŚCIELSKIEMU
Hr. AD. KRASIŃSKIEMU
JAN. LORENTOWICZOWI
TAD. MICIŃSKIEMU
JUL. OSZACKIEMU
Hr. LEONOWI PINIŃSKIEMU
EDW. POREBOWICZOWI
ANT. POTOCKIEMU
ZEN. PRZESMYCKIEMU
br. LUDW. PUSZETOWI
KONR. LUBICZ RAKOWSKIEMU
ADA. SIEDLECKIEMU
JAN. STANISŁAWSKIEMU
RUD. STARZEWSKIEMU
Hr. MICHAŁ. TYSZKIEWICZOWI
TAD. ULANOWSKIEMU
WŁAD. WANKIEMU

ku wesolej rozwadze i poważnej ucieczce.

Beaconsfield lord Disraeli: Krytyk, to ten pisarz, który ani w piśmiennictwie, ani w sztuce nic nie umie stworzyć trwałego.

Oskar O. Flahertie Wyllys Wilde. Niema grzechu z wyjątkiem głupoty.

Goethe: Sztuki nie można poznać bez entuzjazmu.

Rolicz Lieder:... w tych czasach, w których trędowaci udają Erosów, a Afrodyty w zamtuzach szynkują napitki.

Bitwom i potyczkom, staczanym przez współczesne kohorty i falangi artylerii i infanterii, kawalerii i marynarki towarzyszą literalnie całe stada fotografów specjalistów, fotografów amatorów, dzielnych reporterów, malarzy, liwerantów, żądnych wrażeń poetów z Milwaukee, z Arkanzas... cóż więc dziwnego, że i wielką kampanię, jaką kończy młoda Sztuka z Starą, fotografują specjaliści, amatorzy malarze, reporterzy a także... prof. Mazanowski z Krakowa.

Rzeźnik, który chce zrobić majątek i karierę a w przyszłości zostać radcą miejskim i sądzić o tem czy „Złote runo“ ma wartość artystyczną, czy jej nie ma, wystawia w oknach swej jatki najtłustszy okaz z pośród swych... wybaczenie... wieprzów, cieląt, baranów; krytyk krytykujący krytyka wystawia w swych oknach również z pośród swych cieląt, baranów itd. okaz najcharakterystyczniejszy. Mnie przypadkiem wpadła w ręce księga prof. Mazanowskiego, choć równie dobrym przypadkiem mogłem natrafić na jakieś arcydzieło pp. Struwego, może Choińskiego, może Hoesicka lub innego p. Flacha. Kto wie, czy w prof. Mazanowskim nie znajdę okazji najcharakterystyczniejszego?

Literatura, nasza Pani, Żywicielka i lichwiarka, Opiekunka nasza i macocha, podobna jest do pewnej wierzby płaczącej z pewnego znanego mi ogrodu. I ona bowiem rośnie, kwitnie, rozrzuca długie zielone warkocze i daje chłodny cień zakochanym parom nietylko bez pomocy ogrodników krytyków, nie tylko mimo woli ich, ale nawet wbrew rozkazom ogrodników krytyków. Ci bowiem, pod wodzą starego ogrodnika głuchoniemego i coprawda krótkowidza i kaleki, koniecznie domagają się, aby na miejsce wierzby płaczącej posadzono kasztan. Jest on może mniej piękny, mówią oni, ale daje więcej cienia i szczególnie go lubią emeryci, tabetycy i impotenci. Nadto „wierzba płacząca“ jest niemoralną i nieswojską...

...A widzi pan, że ja nauczyciel gimnazjalny i tylko w IX randze, a umiem krytykować poetów — mówił pewien nauczyciel gimnazjalny — a pan choć i po-

ęta i krytyk w jednej osobie a nie umiałbyś wkładać w mojej szóstej klasie botaniki i mineralogii. Aha, a widzisz pan, a cóż pan na to?

...A bo pan jesteś w IX randze, dlatego! odpowiedział cokolwiek złośliwie i krytyk i poeta.

Cave canem — to znaczy dla mnie: nie waź się czytać elukubracji artystyczno-krytycznych podpisanych: dr. prof. hr., prof. hr., dr. prof. i t. p.

Elementarną i niespożytą potęgą musi być ta konieczność artystycznego wypowiedzania się w naszych twórcach, kiedy jeszcze tworzą mimo pochlebne wzmianki reporterów, uznania i zachęty, pochwały i nadzieje krytyków równie obrażające, bo równie głupie, jak ich nagany i ujemne sądy.

...Chwalił pana krytyk Jeske-Choński? To trudno, to przykro, to smutno, co prawda na to nic poradzić nie można na razie, ale znowu nie martw się pan zbyt, to jeszcze nie znaczy, abyś pan był miernotą lub zgoła nie miał talentu. Przypominam sobie, że pewnego razu chwalił pan Jeske-Choński właśnie człowieka rzeczywiście bardzo utalentowanego, co prawda jednak dlatego, że człowiek bardzo utalentowany napisał paszkwil na sferę, do której przedpokojów kołatał bezowocnie znakomity krytyk p. Jeske-Choński.

Pewnego razu napisano i wydrukowano świetny, gryzący, dowcipem błyszczący, pełen paryskiej werwy i rzetelnej krytyki pamflet na warszawskich *les Invalides du bel esprit, du Bellaców* krytyki, niedołęgów i kabotynów. Miernoty warszawskie pamflet połknęły, dławiły się nim dłuższy czas, ale wreszcie go strawiły. I ten pamflet, który nieznanego autora stawia obok Oct. Mirbeau, L. Bloy, który powinien był wywołać wrzawę, dysputy, dyskusje, polemiki, odpowiedzi, skandale, a w rezultacie atmosferę czystą jak po burzy, zmierzch bogów — bałwanów i zdemaskowanie świętoszków, przeszedł jak chmurka nad Archikonfraternią rymorobów. Pamflet bowiem uznano za... niemoralny.

Urywek z życiorysu pierwszego lepszego z współczesnych autorów...

W tych latach cierpiał nasz nieszczęśliwy piewca na hallucynacje i epilepsję oraz ciężką tuberkulozę. Gdy jednak lekarze zabronili mu absolutnie odczytywać krytyczne artykuły znakomitych pisarzy, Newrasteński nagle zaczął powracać do zdrowia i oto rok 19.. przynosi nam wspaniałą powieść z życia współczesnych literatów p. t. Gehenna.

Pfuj do diabła — mówił pewien sędziwy estetyk należący do jury konkursowego — ta powieść istotnie może się znaleźć na stole każdej uczciwej rodziny polskiej!

I z pasją rzucił manuskryptem pod stół, zaznaczwszy wprzód na marginesie: 1. nagroda.

Kiedy znakomity krytyk i esteta K. M. Górski znalazł się wreszcie w niebie, rozpoczął między rzeczami wniebowziętych poszukiwać równych duchem. Znużony szukaniem bezowocnym, łapie wreszcie jakiegoś lokaja w niebiańskiej liberyi i zapytuje: ...Mój kochanku! nie umiałbyś mi wskazać Anioła Michała?

...Archanioła, duszo wybrana, poprawia lokaj.

...Nie mój drogi! Michała Anioła — upiera się p. K. M. Górski.

...Nie, duszo jasna, jest tylko Archanioł Michał i ten ci, który przy samym Panu Bogu na dyżurze, nie do interwiewów.

...Interwiewów?!??? Ależ jam jest pięknoduch z Krakowa, nawet Modrzejewska mówiła o mnie, że...

...Tiens! Tiens! Michała Anioła tu nie ma.

...To może łabędzia z nad Avonu!

...Co? co? Tylko moja duszo odzwyczaj się tu w niebie od symbolizmów, mów jasno.

...No! Starego Wila z Globe-Teatru?

...Powtarzam, odzwyczaj się symbolów.

...Szekspira! krzyknie zirytowany ale zawsze wytworny p. K. M. Górski.

...O, nie duszo krakowska! Szekspir siedzi w piekle, gra podobno całymi dniami w warcaby!

...W piekle!! Szekspir!? W warcaby?! Z kim?

...Z kim? A różnie bywa, czasem z jakimś Buonarottim, czasem z jakimś Sarceym.

...Z Buonarottim!!! Z Sarceym?!?! W piekle?!?!

I byłby omdłał, choć zawsze wytwornie i uprzejmie p. K. M. Górski z Krakowa, gdyby go wczas w ramiona nie uchwycił nadchodzący w porę Ferdynand Hösick z Warszawy... wniebowzięty dzięki Lewenthalom.

Na pewnej herbacie estetycznej w Krakowie deklamował p. K. M. Górski, jak zwykle oczywiście oktawy Beniowskiego. Ponieważ przy kolacji podano staropolskie zrazy z kaszą, przeto po kolacji wszyscy przy dźwiękach potężnych rytmów poczęli zapadać w twardy sen. Północ mijała, kiedy dwunasta osoba, ogromnie tłusty gospodarz rozciągnął się wygodnie i zaczął głośno chrapać. K. M. Górski powiódł okiem boleśnie po zebranych, przerwał deklamację, ale zawsze uprzejmy i wytworny zaczął melancholijnie:

„Samotność! Cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi...“

Do jakiego stopnia p. K. M. Górski jest człowiekiem muzealnym, w jakiej zażyłości żyje z arcydziełami Grecji i Odrodzenia, wystarczy choćby ta drobnostka, jako dowód, że o marmurach pisze już konfidencyjnie i familiarnie „z partenopejskiego“, „z kararyjskiego“ i nie potrzebuje dodawać: marmuru. O!

Dwóch znakomitych znawców sztuki spierało się o to, czyjego dłuta jest pomnik Potockiego na Wawelu: Canovy czy Thorwaldsena. Obecny przy tem p. K. M. Górski stracił na razie kontenans, równowagę i nawet pamięć; że jednak był zawsze uprzejmy i wytworny, chciał załagodzić spór... „Mniejsza o to panowie, mniejsza o to, „dość“, że pomnik jest bezsprzecznie klasycznym, tak jest rzeczywiście klasycznym, klasycznym!

Kiedy dwóch poetów w miarę złośliwych i w miarę dowcipnych, namawiało p. K. M. Górskiego, aby wydał wreszcie tom swych poezyj, gdyż Brunetiére, Melchior de Vogue, de Sanctis, Mereżkowski, Brandes, Mathew Arnolds, Symonds, Leslie Stephen, Saintsbury, Lee, Meyer, Bartels, Minor i cała kry-

tyka europejska czeka na nie niecierpliwie, zamyślił się p. K. M. Górski i odpowiedział uprzejmie a wytwornie:

...I owszem panowie, tylko od roku namyślam się nad tem, czy włączyć w tom sonet z r. 1899 p. t. „U stóp Pentelikonu“ poświęcony Klaczce, czy sonet z r. 1888 p. t. „Lady Makbet“, poświęcony Modrzejewskiej. Czas rozstrzygnie.

Dzieckiem jeszcze czytał p. K. M. Górski Dantego: „Boską Komedję“. Kiedy doszedł do ustępu wstrząsającego o Ugolinie, rozplakał się serdecznie i spazmatycznie. Guwerner przerażony i równocześnie wzruszony tak silną wrażliwością dziecka podbiega i pyta:

...Kociu my dear, my dearest, czemu płaczesz? Ugolino? no nie martw się, nie smuć, to nieprawda...

...Bo plosę pana, mucha zlobiła mi ęzę na kołnierzu — krztusi łkając rozpaczliwie, ale już wtedy uprzejmie i wytwornie, przyszły klasyczny krytyk.

Zaprzagnął w którejś z wielkich bibliotek zagranicznych studyować epokę renesansu p. K. M. Górski. Zwrócił się tedy wytwornie i uprzejmie do jakiegoś pana siedzącego za biurkiem w czytelnianej sali, przypuszczając, że ten musi być docentem estetyki, ponieważ miał monokl w lewym oku, wykałaczkę w zębach i kameę pompejańską jako szpilkę w krawacie.

...Holen Sie für das Mensch Burckhardt, Peter! mruknął domniemany docent do przechodzącego służącego...

Ale p. K. M. Górski zapytał się o Klaczkę, tak... dla ciekawości narodowej. Wzruszono ramionami. Poczem dano p. K. M. Górskiemu dzieło hrabiego Gobineau, ale znów pytał o Klaczkę. Wstrząśnięto ramionami i dano mu dzieło Waltera Patera. Przeczytał, ale znów pytał o Klaczkę, tak!... dla ciekawości patryotycznej. Znów wstrząśnięto ramionami i znoszono mu po kolei rozmaite dzieła, rozmaitych Anglików, Niemców, Francuzów, a o przeraźliwie genialnym, kolosalnie sławnym, bezwarunkowo najznakomitszem dziele o Odrodzeniu J. Klaczki nic nikt nigdy nie wiedział. Słusznie jednak i zgodnie z prawdą mógł pisać p. K. M. Górski w liście prywatnym do St. hr. Tarnowskiego... „a

o naszego Klaczkę rozpytują się ludziska w zagranicznych bibliotekach tak namiętnie, że służba i rady sobie dać nie może, by wszystkim dogodzić“.

Pod oknami mieszkania ziemskiego p. K. M. Górskiego wszczął się raz nagle gwar i krzyk. Właśnie znakomity esteta kończył opracowywać odczyt popularny o „Trzech psalmach“ Krasieńskiego, przeznaczony bezinteresownie na duchowy pokarm dla ludu, kiedy ulicę, przy której mieszkał, zapchał całą olbrzymi tłum wynędzniałych robotników manifestujących z powodu braku pracy. A gdy tłum nie chciał ustępować, oddział wojska rozpoczął płażowanie, połała się krew, zaczęły się krzyki, wrywano kamienie z bruku, w tyle słychać było chrapliwie śpiewany *Czerwony sztandar* i nagle rozległ się trzask odwodzonych kurków...

Blady p. K. M. Górski postąpił do okna, z hałasem opuścił drewnianą roletę, wstrząsnął się z odrazy i obrzydzenia, wreszcie siadł do biurka i pisał dalej z pewnym gorzkim jednak uśmiechem:

„a jednak nam pomazańcom ducha nie należy trać nadziei, ale iść jak te kamienie rzucone na szaniec, pamiętnym na słowa Zygmunta (*plus confidence!* dopisek A. N. N.), że tylko jeden, jeden cud, z szlachtą polską polski lud.

Kiedy głęboko zamyślony pochylił głowę, równocześnie rozległa się komenda: *Feuer!*

Głębokiego szacunku i podziwu nabiera się dla Nordaua, wertując dzieła jego bastardów duchowych wielkich i małych. Czytajcie Nordaua w wydaniu dla dzieci tj. Choińskiego, Nordaua w wydaniu dla analfabetów słowiańskich Struvego, krytyczne utwory Gośławców, biskupów Niedziałkowskich, Gomulickich, Kozłowskich, Flachów itp. i., a przekonacie się, jak potężnym można być i w pa-szkwilu na wszystko i wszystkich a jak bezsilnym w obronie własnej i swych współczesnych mier-ności.

Pytałem raz pewnego warszawskiego „cenionego“ (na 9 kop. od wiersza), czemu ten poeta Kazimierz G. robi tyle dramatów, powieści, poezyj, kiedy to wszystko taka nędza... — Ma przecież siedmioro

dzieci, więc musi „robić powieści“ odpowiedział „ceniony“.

Więc czemuż robi dzieci? spytałem niedyskretnie. ...A Bóg go wie... Bóg tak chce...

Tak to w Warszawie składają odpowiedzialność od-dawna na Boga — nie tylko za rymoróbstwo ale i za dziecioróbstwo.

Jak wiadomo, H. Sienkiewicz pisząc „Quo vadis“ dla studyów siedział dłuży czas we Włoszech. Dowiedział się o tem p. Jeske-Choiński, również znakomity powieściopisarz jako i krytyk, więc napisawszy powieść o trubadurach, wziął pieniądze i pojechał do Prowansalii. Dowiedział się o tem rywal obu p. Krechowicki, równie znakomity krytyk jak i c. k. radca, a że chciał pisać powieść z czasów Dyoklecyana, więc pojechał do Jaremca. Pan A. Gruszecki pisząc „Krety“, kazał się żywcem zakopać w ziemię z beczką Vermouthu, p. Gąsiorowski pisząc „Pigularza“ przebywał tylko z sobą samym. Pan Tetmajer pisząc „Pannę Mery“ drugi raz ochrzcić się kazał.

Przynajmy z dumą, że wspaniała Filharmonia warszawska, to jeden z najpoważniejszych czynników do kompletnego zdziczenia i zkankanowania społeczeństwa warszawskiego. Przynajmy z dumą, że gdy miesięczniki literackie w dzikiej, barbarzyńskiej Rosji mają do 15.000 (piętnaście tysięcy!) prenumeratorów, a jest ich kilka, gdy rosyjscy autorowie (M. Gorkij) mają do 80.000 koron rocznego dochodu, my bez miesięczników literackich wygodnie się obchodzimy, a nasi autorowie swobodnie umierają po szpitalach, o ile nie byli humorystami i wcześniej nie strzelili sobie w łeb. Przynajmy z dumą, że gdy podłe szwabki mają światowych uczonych, autorytety filozofii, wspaniałe szpitale, imponujące biblioteki, potężne i poważne organa prasy, dzienniki o 600.000 abonentów, stowarzyszenia, kluby, ruch etyczny, Egidygo, Simplicissima, Mommsena, Virchova, Krafft-Ebinga, świetny przemysł, marynarkę — my mamy Filharmonię, Filharmonię, Filharmonię. Przynajmy z dumą, że w Niemczech rozeszło się dotychczas 4 (cztery razy) tyle egzemplarzy „Krzyżaków“ co w Polsce, że Niemcy mają bardzo poprawne, ilustrowane i tańsze od polskiego wydanie Krzyżaków a my

się obejdziemy bez illustrowanego wydania Krzyżaków, bo mamy Filharmonię, Filharmonię, Filharmonię. Przyznajmy z dumą, że Anglicy są ogromnie śmieszni, pokratkowani, noszą ciągle Baedekera, jedzą surowe mięso, mają chude córki, najlepsze psy, konie, muzea, maszyny, higienę, sport, najwykwintniejsze malarstwo i robotników gentlemanów, ale my mamy Filharmonię, Filharmonię, Filharmonię. Przyznajmy z dumą, że Włosi są brudni, krzykliwi, łakomi na pieniądze i dobrzy katolicy, ale my przyznajmy z dumą — jesteśmy jeszcze lepsi katolicy, a choć łazienki dla nas są przedmiotem zbytku i luksusu i mamy chwałę Bogu więcej defraudantów i szulerów niż fabrykantów i bankierów, jesteśmy czyści choć nie na ciele ale mniej więcej na duszy, a nadto mamy Filharmonię, Filharmonię, Filharmonię!

Przyznajemy z dumą, że Francja jest w zupełnym upadku, Paryż Lutecya — grodem najwyuzdańszej rozpusty, wieża Eiffla zabawką, dziennikarstwo przekupnem, i choć Paryżanie mają najlepszy szampian, *chanson* i *chambre garnis*, najpyszniejsze kokoty, także głębokich uczonych, najwspanialszą rzeźbę i całe rojowiska poetów, całe wagony powieści *chic et charme*, my mamy tylko coprawda procesy homoseksualistów, całe ulice lupanarów, fabrykantki aniołów i arystokratyczne Messaliny, ale w dziennikarstwie tak wielkoduszne typy, jak Jeleński, Masłowski, Ehrenberg i choć podlejszą prostytutkę, ale za to Filharmonię, Filharmonię, Filharmonię.

Dlatego przyznajemy z dumą, że choć w nauce nie mamy powag europejskich, dla literatury żadnego organu, choć nam z nędzy giną i malarze i rzeźbiarze, nasze wystawy obrazów są oazami dla samotników i mizantropów lub salonami snobiego flirtu, choć dla kultury europejskiej jesteśmy nieproduktywnym pasożytem, nacyą, zdobywającą się co najwyżej na mocarzów fortepianów i tenorów królów (*sclavus cantans*), choć każdy Szwed, Szwajcar, Duńczyk, Belg, a wnet Grek, Boer, Turek i Japończyk mogą na nas spoglądać z protekcyjnalnem lekceważeniem, my jednakże nie jesteśmy dla Europy *»eine minderwertige Nation«*, jako one Serby, Portugale, Tunguzy i Irokezy, bo mamy przecież Messyanizm, Sienkiewicza i Filharmonię, Filharmonię, Filharmonię.

Zaprawdę, zaprawdę powiadam Wam, nie jest ci sztuką muzyka koncertowa; jest tylko sztuką stosowaną i to stosowaną do kas wertheimowskich najobrzydliwszej burżuazyi, przeważnie plutokracyi, dyletantów i fachowców-snobów. Postawcie aparat kinematograficzny przed pulpitem najznakomitszego kapelmistrza wirtuoza, podczas najdroższego koncertu symfonicznego, aby wam filmy uchwyciły najwyborowszą publiczność najmuzykalniejszego miasta, a załamiecie ręce ze zgrozy. Zobaczycie dosłownie menażeryę ludzką, zobaczycie maski bezmyślności, maski znudzenia, maski trawiących kolację lub obiad ludzi, maski zamyślonych spekulantów, rozmarzonych erotomanów, maski bawiących się złośliwą obserwacją, maski spoconych od gorąca, maski gospodyń myślących o jutrzejszym obiedzie, maski krytyków kombinujących jutrzejsze recenzje; a w tej nędzy dobrobytu mieszczańskiego, w tej nędzy perfum, wysokich fryzur, jedwabnych bluzek i nienaganych smoków gdzieś tam was uderzy żółta twarz lichwiarza, któremu smętna melodia do głębi wrzyna się w sumienie, lub inna blada twarz monomana także do głębi wzruszonego muzyką i upajającego się myślą o samobójstwie. Reszta trawi i walczy z snem, aby przy niespodzianem finale budzić się raptownie do wdzięcznego uśmiechu, sympatycznej krytyki, zachwyty, uwielbienia, braw. Ta sztuka wymaga tylko jednej ofiary od Was: bezmyślności. Ta sztuka przystępna jest nawet dla Buszmanów, bankierów i hotelarzy...

Wasze koncerty symfoniczne to rozpaczliwe protestowanie się sztuki z krociowym Mammonem.

Raz tylko doznałem wstrząsającej artystycznej emocji na koncercie Odeonu monachijskiego. Był wieczór Beethovenowski, dawano trzy tylko utwory, trzecim była... IX symfonia. Siedziałem kompletnie pozbawiony przytomności i siły, dosłownie jak potłuczony kijami, cały obłany zimnym potem, dzwoniąc zębami, przestraszony, cokolwiek ogłupiały i chciałem tylko krzyżeć, wyć, rozdzierać coś, podpałać, bić, wreszcie rozstrojony do ostatniego stopnia poczułem łzy na twarzy i ostatecznie rozplakałem się z całą swobodą. Późem nastąpiło przesilenie, wstyd, zmogłem newrozę i zacząłem przeklinać nikczemną neurastenią polskiego imbecila.

Obejrzałem się dokoła po pragermańskim otoczeniu i zdumiałem. Najsilniejsze okazy teutońskie, mężczyźni i kobiety, młodzi, starzy, wyczesani, postrojeni trzęśli się jak w febrze, płakali, wzdychali, dygotali, ktoś omdlał, ktoś brutalnie roztrącając wszystkich wybiegał, wreszcie jakaś wysoka dama dość blisko mnie dostała ciężkiego histerycznego napadu i z zapienionymi ustami, z rozpuszczonymi włosami, wrywała się służbie i sąsiadom. A chór śpiewał majestatycznie: *an die Freude*. Rozkosz artystyczna była wielka, ale impressya przedpiekła jeszcze większa.

Bo sztuka Beethovena upokarza, rzuca w proch ziemski, czasem truje spokój wegetacyi i zabija solidność cynicznego na świat poglądu, ale więcej dowodzi naszej nieśmiertelności, niż dogmatyka z ontologią razem.

Warszawie wystarczy zupełnie muzyka mistrza Mascagniego tj. sztuka kokot, adwokatów, komiwojażerów i werystów.

Ciężkie to życie wirtuozów! Słynny rosyjski improwizator Durow... tresował swe świnki i szczury przez pięć godzin dziennie, Melba wozi ze sobą materace na drzwi i okna hotelowe i uczy się nowych partyj przez pięć godzin dziennie przy ślepej i nieślepej klawiaturze. Czy wy to umiecie ocenić?

Opowiadałem raz pewnemu literatowi niemieckiemu, zaprzysiężonemu wagnerzyście i wytwornemu melomanowi treść po kolei dramatów Słowackiego: *Mindowe*, *Balladynę*, *Kordyana*, *Złotą czaszkę*, *Sen srebrny Salomei*. Był zdumiony, wydawał nieartykułowane już wykrzyki podziwu, rozpytywał się o wszystkie szczegóły, o drobne sceny, kostyummy itd. Wreszcie przy *Śnie srebrnym* zerwał się z krzesła i krzyknął: Ależ to wszystko to wasze *Nibelungi*! Wy musicie mieć kiedyś wspaniałą operowy cykl z tego! To nieprzebrane skarby. Wy powinniście wydać drugiego Wagnera.

...Niestety to niemożliwe, szepnąłem znużony jego entuzjazmem.

...Dlaczego?

...Mamy już bardzo wielu genialnych krytyków muzycznych.

Kiedy poeta Miriam zakładał „Chimerę“, szukał lokalu redakcyjnego naprzód na ulicy Królewskiej. Nie znalazłszy tam odpowiedniego lokalu, rozpoczął poszukiwania po ul. Senatorskiej. I tu nic odpowiedniego nie znalazłszy, już mocno niezadowolony szukał i wreszcie znalazł na ulicy Książęcej.

Kiedy w czas jakiś jednakże na nową wystawę select zaczęto wnosić obrazy p. Maryana Wawrzeńckiego, gospodarz domu zobaczywszy je na schodach, dostał ataku epileptycznego, zachorował obłożnie i wymówił mieszkanie poecie Miriamowi. A że równocześnie i Chimerę duszono i uśmiercano, więc ktoś ciekawy i śmiały pytał poetę Miriam, dlaczego też Chimerę tajemnie duszą, kiedy chimeryczna nasza publiczność tak ją ukochoła, rozumiała... wielbiła

...Wypowiedziano nam mieszkanie na Książęcej, na Senatorskiej, na Królewskiej; na Wojewodzkiej odpowiednich lokalów nie było. Trudno zaś wymagać, aby arystokratyczna sztuka miała mieszkać na Gnojnej, Rymarskiej, Gęsiej albo Towarowej.

Nim się przystąpi do badania na okazy sekcyjnym strasznej przypadłości, *furor criticus*, która w literaturze jest tak niebezpieczną, jak *furor vaginae* w życiu (w obu wypadkach szczególnie dla młodych ludzi), trzeba koniecznie badać genezę tej choroby historyczną i u danego osobnika, następnie śledzić, czy choroba ta nie jest zdeformowaniem mózgu wskutek pewnych przecinków czy laseczników zaraźliwych, krążących w powietrzu (w tym wypadku *bacillus Nordaui*, *bacillus demenciae senilis*, *bacillus Loiola* i *bacillus banalitatis*), studyować, jakie są środki profilaktyczne, jakie organizmy są mniej lub więcej odporne, wreszcie jak wielkie spustoszenie sprawia *furor criticus* wogóle w społeczeństwie.

Poczem dopiero przestudyujemy ściśle np. prof. Mazanowskiego „Młodą Polskę.“

T. zw. cynizm, czerwona płachta toreadorów, upiór dla ojców rodzin i obrzydliwość moralna z pogańskich czasów jest niczem innym, jak tylko prawdą, bezwzględną prawdą, nagą prawdą, maczaną w wityoleju, może sfermentowaną, tylko rzucaną na-

gle i niespodziewanie w twarz wrogów prawdy. Każdy tchórz zgodzi się na tę prawdę, ale umotywowaną i powoli podawaną: Jesteś pan skończonym idyotą, ponieważ pro primo..., pro sekundo..., pro tertio... itd. A pan skończony idyota wdzięcznie się jeszcze uśmiechnie. Ale powiedzcie temu samemu: „Nie żęń się pan, gdyż wnioskując z ojca syn będzie miał wodę w głowie...” a każdy się obrazi za cynizm. Statystycznie biorąc, na każde 5 milionów obywateli rodaków potrzebny jest jeden pisarz-cynik, któryby zdzieriał białe welonny z prostytutek, demaskował oszustwa patriarchów, odsłaniał zgniliznę i w ogniskach domowych, a był jak Attyla... Nam więc potrzeba jeszcze dwóch, bo trzech stworzy *collegium de propaganda fide* w przyszłość literatury.

Faktem jest, że takie słodko-kwaśne, ogólnikowe zwroty, jak „nasza nieudolna krytyka“, „dzieła nieudałych dramaturgów“, „całe stopy tomików, jakimi zarzucają rynek księgarski niedowarzeni poeci“ itp. nikt z nas przecie nie będzie brał do siebie, ale każdy choć z wielkim żalem zastosuje je do swego przyjaciela i kolegi, do liryka z prawej strony, do krytyka z vis-a-vis, wreszcie do ogółu, z którego jest się właśnie chlubnym wyjątkiem. Dlatego proponowałbym, ażeby publicyści nasi, pisząc: „ordynarne i gminne bicie pięścią po głowie i odzieranie żywcem ze skóry“, dodawali śmiało: znakomitego krytyka p. A. Sygietyńskiego. Pisząc: „powieści pozbawione wszelkiego artystycznego pierwiastku, z reporterską obserwacją i analizą psychologiczną godną filozofujących doróżkaczy i gadatliwych portyerów“, dodawali śmiało, jak np. znakomitego alkoholika p. A. Gruszeckiego. Itd., itd.

Najfałszywiej interpretowana kurtoazja wzajemna, chorobliwie grzeczna frazeologia, *reverances* krytyczne, względy na rodziny, przyjaciół, ton pisma itd. doprowadzają zawsze do hegemonii miernot w literaturze. Dlatego tak potrzebnym jest u nas w obecnej fazie rozkwitu młodych talentów krytyk, którego by miernoty ze strachem napiętnowały przydomkiem: *Le Cruel*.

Dyletant w znaczeniu Schopenhauera to ten, który z ukochania zajmuje się pewnym przedmiotem. O, życzyłyby tylko należało, abyśmy w literaturze mieli jak najwięcej w tym znaczeniu dyletantów, jak najmniej fachowców. Okropnością bowiem w powieści był niegdyś zgaszony obecnie płomień talentu fachowca w arystokracji hr. W. Łosia, okropnością naszych dni jest fachowiec w kwestyach niedomagań socjalnych... A. Gruszecki.

Współczesną naszą literaturę, jak każdą z czasów przejściowych, można dzielić na komercyjną i heroiczną, *ecclesia profitens* i *ecclesia militans*: Pierwsza rezyduje w Warszawie i oparta jest na Gebethnerze a Wolfie, Lewenthalach i Natansonach, druga mieszka w Krakowie i oparta jest na kilku talentach, wysubtelniomem uczuciu godności artystycznej, pozadzijszych ideach i pańskiej pogardzie inteligentnego motłochu. Warszawska literatura komercyjna jest już prawie nie do czytania, krakowska heroiczna jest mało czytana. O warszawskich ulicach i restauracjach ciągle się czyta w warszawskiej beletrystyce, piszący Kraków beletrystyki prawie i nie produkuje, smakiem i gustem ulicy gardzi, a restauracyj swych nie opisuje, choć w kawiarniach wysiaduje. Warszawski pisarz chlubi się swym fachem i firmą literata, w Krakowie nawet literat cieszy się, jak go kto nazwie skromnie artystą. Istnieje literacki szowinizm warszawski, wzbogacający feljtoniki kuryerków, w Krakowie nawet kosmopolici intelektualni pracują *sub specie aeternitatis*. Warszawie wystarczy lutniści K. Laskowski, w Krakowie z przesadną dumą powtarza się, że nikt jeszcze nie wziął po Bekwarku lutni.

W literaturze komercyjnej każda firma pragnie być za każdą cenę sympatyczną dla ogółu i stąd antypatyczny element schlebienia nieśmiertelnej głupocie i marności mobu, stąd to „jeśli kąsanie to sercem“, tak jakby serce miało potrzebne w krytyce i satyrze zęby wilcze lub lamparcie. Palladium literatury komercyjnej to Kuryerki, Kolce, Muchy, jej symbolem herb warszawski: Syrena. A heroiczni pisarze gardzą sympatią nawet warszawskich hotelarzy i garbarzy, lekceważą sobie pochwały i etykiety nawet p. Kempnera, p. A. Dobrowolskiego, ba nawet p. Choińskiego, plużą na wszystko, nawet na manierę K. Zalewskiego, nawet na styl drama-

tyczny St. Kozłowskiemu, nawet na nieśmiertelną pozę z pincez-nez p. Bogusławskiego. Pracują dla siebie i dla przyszłości.

A jeśli który z nich gryzie, to piórem.

Powtórzyłbym o Stanisławie Tarnowskim to, co Coleridge powiedział o krytyku H. Walpolu: o wy wielbiciele słowa: człowiek, ciesząc się, że pan Tarnowski jest tylko... Excellencyą...

O dziełach Klaczki powtórzyłbym to, co Wolter powiedział o „Cantiques“ markiza Pompignan, że są święte, ponieważ ich nikt nie dotyka...

ale o twórczości intymnej K. M. Górskiego powtórzyłbym to, co de Goncourt powiedział o Bourgeois: *c'est bel, vraiment c'est bel, mais c'est bête, bête!*

Niczego się nie bójcie, wy samodzierni krytycy i wy chińczycy krytyczni i wy najniesprawiedliwsi i wy najniedorzeczniejsi recenzenci a referenci! To społeczeństwo czytające tak czerstwym i zdrowym i swojskim snem zadrzemane, że zbudzić je może i do protestu zmusić niesprawiedliwa lub niedorzeczna krytyka, ale tylko: kuchni, sukien, szyku, koni, dezynfekcyi, kanałów, baletu, chóru operetkowego, „miejskich stosunków“ itp. A wam dano krytykować tylko dzieła ducha, które obchodzą tylko was, nas, waszych i naszych przyjaciół i co najwyżej znajomych tychże przyjaciół i przyjaciół tychże znajomych.

Tylko na Boga, bądźmyż trochę i arystokratyczni! strzeżmy wszelkimi siłami, dniem i nocą, okiem i uchem, piórem i maszyną do pisania systemu... hierarchii w piśmiennictwie, aby kiedyś komuś gdzieś nie zdarzyło się pisać np.: ...pisarze tej miary, co Prus, Orzeszkowa — Krechowiecki, Choński, aby kiedyś komuś nie wymknęła się z pod pióra myłka np. „młody i rokujący wielkie nadzieje nowelista Daniłowicz“ zamiast: Daniłowski.

Dla pisarzy jak Balzac, Stendhal, Baudelaire, d'Aureville, Maupassant, Garszyn, Dostojewski, Chatterton, Poe i kilku innych winien być krytyk odważnym nurkiem, zapuszczającym się głęboko w od-

mętach duszy aż na jej dno ciemne i zbrodnicze. Ale nad twórczością pornologów-Hellenów Tetmajera, Louÿsa, pornologów-pessimistów d'Annunzia i Nansena, pornologów-cyników Mirbeau, Prevost, Strindberga, Jägera, pornologów-proletaryuszy Courtelina i Gorkiego i pornologa-desperaty Przybyszewskiego wystarczy krytykowi balans linoskoka-artysty.

Byle linoskok nie pragnął być nurkiem, a nurek linoskokiem.

Dość zabawną historię opowiadano mi raz w Warszawie.

Oto jak zawsze ku czci wielkiej, zdaje się koloraturowej gwiazdy-rodaczki Emmy Goldengipfel-Condoni dawali galowy raut państwo Alexandrostwo Rajchmannowie. Przeszło sto-kilkaset osób było już zebranych w gościnnych staropolskich salonach i oglądało tacę srebrną z kanapkami, dwie zakorkowane butelki koniaku, trzy kieliszki i 745.279 fotografii pianistów, skrzypaczek, dyrygentów, tenorów i cudownych *babies* od komponowania sonat w 4 roku życia, kiedy wchodziła do salonu gwiazda-rodaczka, zwana słowikiem Australii, Emma Goldengipfel-Condoni. Wszystkich oczy zwróciły się ku niej. Gwiazda uśmiechnięta podeszła do znakomitego gospodarza, chciała mu z wdzięczności za monumentalny raut powiedzieć coś bardzo miłego...

Że jednak jako stypendystka galicyjskiego Wydziału krajowego oddawna zapomniała już poprawnego języka polskiego, więc odezwała się:

Au Du Judu, au Du Judu, Gud bai, gud bai mister Rajchmännchen... ja... ja w Melbourne już slyszałam, panstwo trzymacie a splendid a magnific, biotiful dom publiczny...

I uśmiechnęła się uroczko.

Chciała powiedzieć: państwo prowadzicie dom otwarty, że jednak była stypendystką galicyjskiego Wydziału i za krajowe fundusze..., więc...

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam i szalbierze i melancholicy i geniusze i przekupnie i heloci i idyoci i nawet wzmiankarze warszawscy, choć wyda się to nieprawdopodobnym, a jednak są stworzeni na obraz i podobieństwo Boga.



Jednego tylko mamy giganta woli, któryby potrafił ruszyć z posad bryłę świata.

Ten ci potrafi w czasokresie trzechgodzinnym: prześpiewać 25 tour walca na prywatnym wieczorku, wypisać dziesięcioarkuszowe dzieło o teorii poznania Wundta, naciągnąć czterech osławionych skapców Joela, Samuela, Barucha i Hioba na swój Pogląd na świat, wygłosić dwie prelekcje historyczno-polityczne w dwóch miasteczkach odległych o trzy mile, odczytać z powrotem w wagonie trzy powieści i napisać o nich pięć krytyk, wypowiedzieć speech polityczny na socjalistycznym meetingu ludowym, zagaić posiedzenie wydziału „Kółka kontuszowego“, napisać po francusku artykuł do „Mercure de France“ o „Spodniach Kościuszki“ i studium do filozofii Comta do „Wieńca i Pszczółki“, wmówić dwom literatom, że jest uznaną powagą naukową w filozofii, trzem filozofom, że jest świętym krytykiem artystycznym, wmówić pięciu socyologom, że jest znakomitym danserem, a dziesięciu danserom, że jest radykałem, a stu radykałom, że jest... Otellem; poczem wygłosić porwijacozalną mowę pogrzebową, a potem jeszcze poprowadzić monstre-kadryla na publicznym balu, odtańczyć solo kozaka i zaśpiewać krakowiaka. Jest nim p. Wł. M. Kozłowski, *sclavus saltans* popularnej filozofii w Polsce.

Znakomitą uwagę zrobił podczas pewnej premiery przypadkowo co prawda krytyk teatralny w Krakowie p. Felix zbytecznie Koneczny a propos młodych krytyków o ultra-estetycznych postulatach do sztuki i przesadnie wygórowanych pretensjach i wymaganiach. (Zresztą wątpię, czy to p. Koneczny mówił z własnej fantazyi, czy też inspirowany przez markizę Garpheine).

U nas obecnie nie przepuszcza się żadnej sztuki, jeżeli w niej nie ma coś z Króla Ducha... I racya i to wielka, bo podwójna, obosieczna racya. Bo rację mają ultra estetyczni młodzieńcy, jeżeli wobec możnowładztwa repertuaru mieszczańskiego Zapolskiej, Kisielewskiego, Kaweckiego, najwyżej konwersacyi salonowej, najniżej dramatu robotniczego nawołują do strzelistej, królewskiej poezyi, do dostojnym duchem natchnionej sztuki, do nie-współczesnych robaczkliwych problemów, do kostiumu, maski, gestu, pełnej krwi ludzi, impulsy-

wnej akcji, żywiołowych sytuacji, kwiecistego języka i natchnionych strof i rację mają krytycy o czulszym zmyśle społecznym, którzy bronią artystycznego interesu *misera plebs* przed trudną i nieprzystępną rafinadą tysięcy, którzy domagają się tezy, tendencyi, wiwisekcyi, problemów dostępnych, współczesnych, ludzi na miarę krawca, mowy potocznej, sytuacji dnia powszedniego, realizmu, popularnego stylu, morału. Oddajcie co jest cesarskiego cesarzowi, a co Boskiego Bogu, masom sztuka mięsa, a wybrańcom kawior.

Od pani Zapolskiej nie żądajcie mistycyzmu Calderona, inspiracyi Angelusa Silezjusza, ani języka Swinburna; od farsy bulwarowej nie domagajcie się purytanizmu Kwaków, głębi Dantęjskiej, ani logiki Kartezjusza. Od Przybyszywskiego nie domagajcie się wegetaryanizmu, abstynencyi, wstąpienia do Armii zbawienia, od Wyspiańskiego walki z alkoholizmem, analizy psychologicznej histeryczek, epepei defraudacyi, neurastenicznego dyalogu i języka warszawskich reporterów. Od K. Zalewskiego, Lubowskiego i Ronikera nie żądajcie psychologii Dostojewskiego, nieprzeblaganey krytyki socyalnej Ibsena, ani techniki lepszej od francuskiej; a od Kozłowskich, Graybnerów, Przybylskich nie domagajcie się Króla-Ducha. Geniusz narodu raz tylko na wieki objawić się może w takiej pyszności królewskiego majestatu, a prosić o więcej objawień i szukać i żebrać — a potem nie znaleźć to tylko kara za to, że się imienia wielkich zwywało nadaremno.

Od pewnego młodocianego missyonarza Sztuki wyznania japońskiego, krzewiącego nowe kultury po piśmidłach lwowskich p. Cybulskiego otrzymałem pewnego razu list świadczący o skromności młodzieńca i o rosnącej pięknie kulturze w tym wielkim Berdyczowie. W liście bowiem był ustęp... „w tych czasach napisałem około sześć artykułów o Felixie Jasieńskim, które przedkładałem Szanownemu Panu do łaskawej oceny, oraz wyspecjalizowałem się w krytyce lokalnej. Widzi Szanowny Pan, że i Lwów się powoli cywilizuje... Podobno nawet między ulicą Smierdzuch a ulicą Brudną ma powstać nowy „Pasaż“ w stylu „japońsko-ruskiej secessyi“, o ile oczywiście p. Feigen-

blatt, właściciel domu publicznego, dostanie nań koncesję.

Wiadomo zaś, że mając dom publiczny we Lwowie, łatwo już dostać i koncesję na Pasaż...

Na jubileusz 25-letniej pracy scenicznej na katedrze Stacha Tarnowskiego, nadszedł i telegram tej treści:

Lekceważenie Twego komizmu i antypatya do Twej starczej kokieteryi zrodziły wielkość mej nicości.

Czołem. Piotr Mały.

Ktoś ośmielił się wypowiedzieć zgoła fałszywy domysł, jakoby telegram pochodził od... prof. Chmielowskiego z Zakopanego.

Oburzające!

Powiedzieć: miernoty i uderzyć w każdy stół redakcyjny w Polsce, a wszystkie nożyczki znakomitych dziennikarzy się odezwą.

Stali w antykamerze papieżkiej mężowie z Polski, Marian Gawalewicz i Piotr Stachewicz, trzymając „Królowę Niebios“ pod pachą.

...Chcielibyśmy hołd złożyć Świętobliwości w imieniu polskiej sztuki, mówił Piotr.

...I polskiej, tj. warszawskiej literatury, specjalnie zaś Kuryerka — dodał Marian.

Camerriere oddalił się, po chwilce wrócił.

...Ojciec Święty jest właśnie przy lunchu, polecił mi pobłogosławić panów i jeszcze raz prosić, abyście nie robili powstań i insurekcyi, bo to brzydko i grzech. A „Królowę Niebios“ możecie położyć tu na stół.

I kamerdyner pobłogosławił obu pątników, odebrał z ich rąk arcydzieło i wyszedł nawet nie trzasnąwszy drzwiami. Obaj mężowie łkając z rozczulenia i wdzięczności wrócili do ojczyzny.

Trzeba się wam panowie zdobyć na tyle skromności, aby sobie wyznać wzajem, że wszystkie razem dzieła Mazanowskich i Gomulickich, Flachów i Drogoszewskich, Zawilińskich i Krzywickich nie są Tschandalą nawet dla najślabszego poematu Przybyszewskiego lub Kasprowicza, nawet Tschandalą!!

Raconter ses fautes to jeszcze przenigdy *c'est se le pardonner*; pisać „nie jestem wprawdzie specjalistą w tym kierunku, nie jestem fachowcem, nie studyowałem tego głębiej, ale niech mi wolno będzie jako laikowi, jako zwyktemu śmiertelnikowi, przeciętnemu obywatelowi zabrać głos i...“, tak pisać to nie znaczy jeszcze wyrabiać sobie prawo zabierania głosu, mieć prawo sądenia, być w posiadaniu gleitu na wstrząsające posadami ziemi nonsensa, mieć dyplom na polskiego krytyka literackiego. Przyznawać się do błędów i braków, do rozrzedzenia mózgu, otłuszczenia serca i wysychania krzyża pacierzowego, (co wszystko powoduje purytański i idealistyczny światopogląd) i bijąc się w piersi pokornie, zuchwale rozpisywać głupstwa to chytrze, a może i skutecznie, ale to po jezuicku; dlatego to zaciej jest skromni panowie wyznawczy już kornie bezsilność swą, błędy i braki przepraszać czytelników, że się wobec tego dalej pisać nie będzie i podpisać się.

A przed tym nowym gatunkiem krytyki będziemy wszyscy mieli wielki szacunek, choć się z niego tylko tyle dowiemy o rzeczach sztuki, ile z dawnych... bo nic.

Opowiadano raz szeroko i długo panu Wiktorowi Gomulickiemu o „idealnej krytyce“. A więc, że krytyk to najdonioślejszy objaw subiektywizmu w sztuce, syntetyk sztuki, choć zarazem tylko najwyżej dragoman poetów idący z nimi w kraj Papiasów, w publiczność. A więc, że krytykować to znaczy na reprezentatywnych postaciach dawać projekcje ducha czasów i istotę współczesnej sztuki, krytykować to spowiadać się ze swoich osobistych stosunków do dzieła; krytykować to dawać kinematograficzne zdjęcia prądów, ludzi tonących w prądach i ludzi uratowanych... indywidualności. A więc, że krytyka to podróże i przygody duszy, obsługiwanej wszechstronnym umysłem po kontynentach piękna, to zdolność fantazyi wzięcia się w świat, w koło kulturalne, w fazę umysłową, to zdolność umysłu wyśledzenia twórczej jaźni, *faculté maitresse* i siła umysłu zagłębiania się w nią itd. itd.; krytykować, to nie pouczać artystów, co wiecznie piękne, ale z dzieł artystów deklarować, gdzie nowe piękno itd. itd.

Pan Wiktor Gomulicki słuchał i słuchał, wreszcie

zaczął się uśmiechać złośliwie do siebie, kiwał głową i do rezonującego odezwał się, gdy ten skończył, pobłażliwie choć i z pewną surowością: ...E! to pan, jak z tego widać, dekadent! O, to źle! O, źle!

Jakby tu wytlómaczyć np. Drogoszewskiemu lub p. Flachowi, lub tylu innym panom, że krytykować to znaczy „definiować marząc i marzyć definiując“!!

Kto się podejmie napisania dzieła p. t.: „Dynamika społeczna dzieł sztuki u nas a u Azteków“! — Nikt.

...„My“ w dziełach prof. Tarnowskiego (sądzimy, uznajemy, chwalimy, potępiamy), „to nie znaczy wcale, jak chcą niektórzy: ja i moja żona z hr. Branickich“, ani też nie znaczy my, tj. redakcja „Przeglądu Polskiego“ i „Czasu“, ani my, tj. radcowie dworu, Excellence! „My“ hr. Tarnowskiego *pluralis majestaticus*, to jego jedyna... *licentia poetica*.

Gdyby tak brać do serca zdanie wielkiego myśliciela: *style c'est l'homme*, byłoby teraz u nas w piśmiennictwie dyabelnie mało ludzi, a przecież ich tak wiele. Więc chyba już nadludzie?

Powiedział Goethe: „aby pisać prozę, musi się mieć coś do powiedzenia; ale kto nie ma nic do powiedzenia, może rymować, bo słowa rodzą słowa, a choć z nich nic nie wynika, zda się jakby coś wynikło“. I w tem upatrywałbym właściwą przyczynę tego „potężnego rozkwitu naszej liryki w obecnej dobie“, lecz zarazem życzyłbym, aby było jak najmniej tych „lirycznych dób“.

W imię tej maxymy, że *horae inseruiendo consumuntur*, wiele wybaczyć trzeba naszym recenzentom teatralnym, od których niemieccy są coprawda mniej zaspani, ale o ile więcej jadowici i zgryźliwi.

Powinien był pisać Dumas fils do 30 tomów rocznie, kiedy za każdy wykrzyknik w wierszu: Och i Ach, Pfe, Oj, a nawet za domyślniki brał po 3 franki. Ale poco piszą och, ach, pfe, oj oj, domyślniki i do tego całe powieści pp. Gliński, Gomułicki, Hajota, Rojan, Konar, Jeleńska, lub ta plejada dostawców do warszawskiej „Biesiady Grafo-manów“, to rzeczywiście ciekawe.

Wierzę, że są artyści o instynkcie wieczności i artyści o węchu chwili bieżącej. O, bardzo upokarzającym jest czuć się tylko artystą o węchu chwili bieżącej, ale można znaleźć pociechę w tem, gdy się pomyśli, jak jest znowu wielu artystów tylko o węchu wieczności.

Jeżeli tak dalej pójdzie, jeżeli tak dalej konsekwentnie będą wmawiać w Jana Kasprowicza prorocze posłannictwo, ducha Jezajaszów i mowę natchnioną, jeżeli tak dalej będą się w Hymnach doszukiwali tradycyji z Assyżu i Peruggii, górnej pieśni ekstazy mistycznej i absolutu, zachodzi obawa, że po koleofiarą padną po Maryi Magdalenie, Egipcyance Judaszu wszystkie „wdzięczne do obrobienia mistycznego“ figury z obu Testamentów: Dawid, Ho lofernes, Absalon, Lot, Noe, Herodyada, Onan.. A kto to wszystko przetrawi, będzie miał moc nad przyrodzoną (recte manierę psalmodyczną) i potrafi już sam wypisać: „Księgę Nowego Hioba“.

Genialna autorka: „Kaśki Kantarydyny“, „Małki Szwarzenloch“, „Przedwściękla“ itd. cierpi jak wiadomo przewlekłe na nieuleczalnie namiętny kult Słowackiego. Przypadłość ta doprowadza genialną autorkę do tego, że pisząc o spektaklu z fokami w Tingel-Tanglu, cytuje Anhellego, pisząc o strasznych spustoszeniach, jakie w zdrowem społeczeństwie czyni prostytutcyca, cytuje: Smutno mi Boże, a pisząc o niesumienności, zoilizmie i hyperkrytycyzmie recenzentów swych sztuk, cytuje: Króla Ducha — nadaremno.

Jak w życiu, tak i w krytyce współczesnej u nas są egzemplarze ujemne nieszkodliwe i egzemplarze

ujemne niebezpieczne. Do drugiej kategorii należą reprezentanci obskurantyzmu: pp. K. Górski, A. Mazanowski, J. Nowiński, Gomulicki, Flach, Janowski...

Do pierwszej: Trifolium „uczonych“ pp. Massonius, H. Galle, St. Żdziarski.

Ten ostatni nieposkromiony grafoman młodociany musi jednak i Zoila rozbroić swą trzynastą pracę Herkulesa: dziełem o Bohdanie Zaleskim na 600 stronach.

Opowiada Kornelius Nepos o pewnym rotmistrzu jazdy, że zamknięty w oblężonej twierdzy, kazał konie biczować, aby im zbyt nie zaszkodziło przy długie spokojne stanie.

Z tej obawy o oblężaną i głodzoną umysłowość naszą i ja wychodzę i dlatego od czasu do czasu każę sobie chłostać mój oddział koni Bożych w krytyce współczesnej.

Ja i mój przyjaciel, także genialny młody człowiek byliśmy raz w świetnym tempie bezlitosnego urągania na prasę i dziennikarzy.

...To Marne Theatrum Anonymorum!

...To cuchnąca Cloaca Maxima Europy.

...To szóste mocarstwo Belzebuba.

...To republika utrzymanków Nierządniczy babilońskiej.

...Oj to to. To piece, w które wrzucić najbliższą wiadomość, wyjdzie upieczona gotowa sensacja, wrzucić sensację, wyjdzie skandal, dać ugotować się jajku na miękko, wylęganie się potworna kaczka dziennikarska.

...Oj to to. To klatki druciane z więzionymi słowikami poezji, srokami kroniki, jaskółkami telegramów, puhaczami krytyki, nietoperzami giełdy, sępami gróźb politycznych, orłami idei...

...Oj to to. To biura hurtowej wysprzedaży kłamstwa, to lupanary, w których za marny grosz idee oddają się każdemu przechodniowi, to szpitale zarażonych partyjnym duchem, to pogorzelniska optymizmów i altruizmów, to kostnice wielkich genialnych pomysłów i planów, to kurhany młodzieńczych marzeń...

...Oj to to. To fabryki surogatów kultury dla mas za leniwych do samoistnego myślenia, to są lodo-

wnie, w których zamrażają się gorące serca fanatyków miłości bliźniego, to są katongi niezawisłej myśli, knutowanej i głodzonej.

...Oj to to. A przedewszystkiem to ciemne pagody jakiegoś w mrokach tronującego bożyszczka, które sprawia cudzy, z głupich robi oświeconych, z profanów adeptów, z obojętnych fanatyków, z flegmatyków szaleńców, z ospałych — rewolucjonistów, z pogodzonych — rozwścieczonych. A w mrokach praktyki ofiarne spełniają kapłani Bóstwu maszyny rotacyjnej, ciemne egzystencje, bezimienni niewolnicy, mocarni rycerze pióra, dziennikarze.

...Oj to to małe kółeczka potwornego mechanizmu, białe Chińczyki, piszący proletaryat na usługach spekulującego trustu, pogardzany, wyzyskiwany, źle płatny za tę pańszczyznę z mózgu, z krwi, z siły nerwowej, talentu.

...Dziwne schroniska tych bezprzykładnie oszukiwanych oszustów. Tragikomiczna mieszanina zapaleńców przyciśniętych bezwzględny głodem, fanatyków wierzących w swą missyę apostolską, rzemieszeków udających skromniaków, wiecznie buntujących się a kornych wieszczów, egzemplarzy pełnej rasy, tu chcących się wyszumieć, symulantów tendencji partyjnych, znudzonych życiem reformatorów, cynicznych karyerowiczów, urodzonych lokai kapitału, wysadzonych z siodła dyplomatów, grafomanów ujętych w karby, męczenników ambicyi fałszywej, doktrynerów każdej lepiej płatnej doktryny, kompromisujących z ulicą estetów, urodzonych kamelotów, rozgadanych a płytkich polityków, siwych a głupich menerów, rozpustnych smarkaczy, cuchnących rasą żydków, niewiadomego pochodzenia ex-arystokratów...

...I te elementy zapracowują się u wspólnego stołu, aby dwa razy na dzień oszukiwać instynktowny dobry popęd ogółu, aby fałszować opinię i zwiększać alarmem ogólny chaos, demoralizować, pchać społeczeństwa w tysiące kolizyj, znów je wyciągać, by znów pchać. Ci biedni bezsilni potentaci służą życiu z całym zaparciem, sami z życia prawie wykluczeni, rozdzielają wawrzyny, a sami tylko łysieją, zawsze i wszędzie tylko gotowi pomódz wszystkim do sukcesu, rozścielają po bruku ulicznym dywany, otwierają drzwi karocy, wskazują na kozioł, rzucają czapki do góry i tworzą szpaler przy tryumfalnym pochodzie jakiegoś dziecka szczęścia, wirtuoza życia, bohatera dnia, zna-

komitości z ich łaski. Dobrowolne czy słabo płatne klakiery, entuzyści z temperamentu, z konieczności, z fachu, z nudy często zgorzkniali, jadownicy wrogowie wszelkiego szczęścia, powodzenia, talentu, młodości, zawsze tylko cierpiące, bo konieczne na scenie życia komparsy, zawsze tylko widzowie, nigdy bohaterzy!...

I obaj, ja i mój także genialny przyjaciel zapłakaliśmy gorzko nad deprawacją prasy i tragizmem dziennikarzy, żałując także, że nie jesteśmy obaj wpływowymi redaktorami, którzyby te stosunki potrafili zmienić na lepsze...

Przy stoliku kawiarnianym w „Café de Gigants“ siedziało kilku gentlemanów gente di galera. Siedział staruszek Bolz, przy nim dwóch Giboyerów, ojciec i syn, mocno łysy Bel Ami, dalej Szwed redaktor Lyngge, z polskich gazeciarzy Bartoszewicz, Skrzyński, Rabski i jeszcze kilku.

Pili jakieś mocne hiszpańskie wino i palili drogie cygara. Twarze były mocno czerwone, gestykulacja namiętna. Wszyscy gadali bardzo dużo, tylko biedny Bartoszewicz przygnieciony inteligentnym tonem Europejczyków czuł się jakoś nie swój z swą krakowską rubaszną grandezzą, nie rozumiejąc też konwersacji prowadzonej w językach obcych: niemieckim, francuskim i angielskim. Przełożył tedy nogę na nogę i z pewną silnie akcentowaną, jak mu się zdało złośliwością, wodził okiem po zebranych. P. Skrzyński opowiadał coś o menu ostatniego obiadu u marszałka, p. Rabski cośkolwiek o potędze żydów i kalwinów w Warszawie, redaktor Lyngge o gimnastyce szwedzkiej, Bel-Ami o barchanowej bieliznie pewnej starej bankierowej, która mu płaciła roczną rentę 53.000 franków — a tylko biedny „causeur od Wentzla“ pocił się z wewnętrznej irytacji, że nie może po polsku wprost, ot żargonem Wicka Socyalika, opowiedzieć coś złośliwie dowcipnego a propos naszych dekadentów, którą to nazwą obejmował wszystkich polskich zdolnych malarzy, rzeźbiarzy, literatów, elektrotechników...

Milczał tedy z konieczności. Od czasu do czasu rzucano w jego stronę spojrzenia, przypuszczając, że oniemiał widząc taką przyjaźń Rabskiego z słynnym Giboyerem, lub p. Skrzyńskiego całującego się z redaktorem Lyngem. Wreszcie przestano nań

zwracać jakąkolwiek uwagę, a p. Bartoszewicz podrażniony do żywego w swej ambicji radcy-fejletonisty postanowił się pomścić, w każdym razie nie dać sobie pluć w kaszę...

Właśnie do kawiarni wchodził bardzo wytworny siwy mężczyzna, którego nasze towarzystwo dziennikarzy, jedynie nieśmiertelnych dziennikarzy, zdawa już witało serdecznymi uśmiechami.

...A to ci elegant, mrucał do siebie zadowolony z hiszpańskiego wina p. Bartoszewicz, a to ci elegant psiamac, w kamaszach se chodzi jak jaki minister, no, no pewnie żyd... poprostu.

I uśmiechnął się do swej domyślności znakomity redaktor kalendarza „Ananas“ p. Bartoszewicz.

Sędziwy wytwornis zbliżał się do stołu, witał ze wszystkimi kordyalnie i stanął przy nieznanym sobie p. Kazi. Bartoszewicz, przedstawiając się:

:Pegomas.

:Ananas, nagle krzyknął zaczerwieniony p. Bartoszewicz przekonany, że sędziwy dziennikarz z Paryża robi swą prezentacją aluzję do jego kalendarza.

Tak to „i w tak europejskiej kompanii znalazł się w kropce“ Figaro krakowski, znakomity fejletonista“, literat-obywatel p. Kazimierz Bartoszewicz.

Kiedy inny Kazimierz pan Tetmajer, poeta z Bożej łaski w prawdziwym, więc najgorszym tego słowa znaczeniu, przeczytał uważnie Listy Słowackiego, wpadł w strach febryczny o swoje słynne listy „zrywające“ wysyłane po różnych redakcyach, nakładcach, przyjaciółach, kolegach, (z wyjątkiem Gebethnera i Wolffa) i odtąd całą swą korespondencję załatwia na kartkach korespondencyjnych — z własnym portretem.

Inny jeszcze Kazimierz p. Laskowski, istotny poeta z Bożej łaski w ludowym, a więc już najobrzydliwszym tego słowa znaczeniu, smuci się w małomieszczanństwie warszawskim niesłychaną popularnością. Nałogowy ten rymarz zapragnął jednak po bobkach uszczkniętych przez dziewice warszawskie, aby jego tasiemce rymowane, ojdany, hejdady, hejżeły zabłądziły też pod strzechy chłopka kujaw-

skiego. Na próbę tedy rozdał kilka swych tomików z śpiewkami męczonemi przez panny Syreniego grodu między parobasów i dziewoje. Po kilku tygodniach wraca na wieś i pyta się, czy już umieją na pamięć jego klecone en masse migawki. „E wkiedy za durne jakosik“, odpowiada mu skrobiąc się w głowę Walek Motołek.

Czemu tak urągacie na warszawską Anastazyę, na warszawskiego Malvoglia? Czemu? Przecież tylko ciągłemu powoływaniu się na staruszkę i jej kochanka usprawiedliwić możecie tę marną strawę duchową, jaką przyrządzają wasze tanie kuchnie. Czyż inaczej zniósłaby stołeczna wielkomięjska publika takie bezwstydnego organa umysłowości polskiej jak *Tygodnik Ilustrowany Marnie*, *Biesiada Rzezańców Duchowych*, *Bluszcz kucharek*, *Wędrowiec Podwórzowy*, *Kronika Rodzinna Przedmieść*, *Rola szubrawca*, *Niwa kalumunii* i t. d. Warszawska Anastazyja to wasze Palladium, pod którego schronem mogą się wyrażać stadami te okropne powieściopisarki Esteje, Nagody, Walewskie, Jeleńskie, Terpiłowskie, Grot-Bęczkowskie... imię ich kurnik... Warszawska Anastazyja to wasza ekskuzja przed przyszłością, kiedy was zapytają, jakim bezprawiem Zalewski jest „ojcem komediji polskiej“, Deotyja „wieszczką“, Gawalewicz symbolem Warszawy, A. Niemojewski Pankracym, Jellenta „wrogiem ludu“ etc. etc.

Wasz Malvoglio to wasz advocatus mediocritatis.

Tak hrabia Tarnowski jak i profesor Chmielowski, jako widome znaki pewnych partyi polityczno-społecznych z umniactwa pięknego z czasem będą wykreśleni. Nikt już dziś ani słówkiem nie powołuje się na autorytety Treitschkego, Gervinusa, Mentzla a Taine, W. Scherer, Vischer, Gildenmeister zawsze będą nieśmiertelni.

Umniactwo piękne strategii politycznej nie znosi. Żaden z tych druidów niby antypodalnych, a jakże jednakich nie miał nigdy odwagi swych błędów, żaden nie był śmieszny swym entuzjazmem bezgranicznym, żaden nie miał antypaty nieumotywowanych. Jeden węszył potykanie gramatyczne, błędy przeciw małomieszkańskiej psychologii i etyce pozytywnej, drugi piętnował wolność ducha i klasy-

fikował utalentowanych szlachciców, pilnując ich heraldyki i żarliwości katolickiej.

Żaden nie miał *esprit revolutionnaire* t. j. zmysłu dla indywidualności, żaden *esprit du discernement* t. j. śmiałości różniczkowania, żaden Vischeroskiego „wczucia“ w ducha tworu artystycznego, żaden „zdolności omamienia się“ (Lange) atmosferą astralną tematu krytycznego. Nadto żaden nie miał kultury filozoficznej własnej, tak że z poza demokratycznego zanudzenia jednego, a z poza rabatów stylowych drugiego widać żółty piasek myśli. Nadto jeden artystę nabijał na szpilkę jak motyla, drugi protekcyjonalnie dawał mu świadectwo dojrzałości do historii literatury, a żaden z nich nie miał tej skromności dziecka stojącego wobec tajemniczych emanacji piękna. A choć teraz może obaj mają już cośkolwiek z dzieci, to już nie to, to już nie to. Dzieła ich jednak, to w każdym razie zanie i skrzętnie zebrany materiał, surowy materiał dla krytyka-artysty.

Publika, *la foule*, nieznanne X, jedyny szczery i śmiały wróg Piękna to amalgamatyczna masa w tym momencie roztopiania, w którym jedynie da się z niej coś lepić — to przekrój społeczny w tej perspektywie, w której książka zdradza się ze swą demokratyczną gminnością, proletaryusz okazuje gourmandem wybrednym, a tylko recenzent zostaje nadal wykształconym... rękodzielnikiem.

O niższości niemieckiej kultury miałem sposobność przekonać się w Niemczech. Tam rejent, weterynarz, aptekarz i golibroda zebrawszy się razem grali kwartet Beethovena po *dyletancku*, u nas ci sami panowie zeszedłszy się razem grają w ferbla po wirtuozosku.

Powiedział Candole: *La vulgarite previndra*. Niech swoje Confiteor artystyczne wypisze w jakim humorystycznym kalendarzu Noworocznym Arystofanes z Abdery Kazimierz Bartoszewicy, a zyska gorący poklask wielu, przewielu Ateńczyków z Krakowa.

Do wzajemnego porozumienia się dwóch stron, obozów, frakcyi potrzeba tylko, aby obie miały najgorsze wyobrażenie o sobie.

Dlatego mam nadzieję, że i między mną a pp. Gomulickim, Choińskim, K. Górskim, Mazanowskim, Flachem *et tutti frutti quanti* prędko przyjdzie do porozumienia.

Tylko moi panowie krytycy i recenzenci nie bierzcie mojej satyry zbyt seryo, bo wtedy moglibyście i siebie wziąć na seryo, no i ja siebie...

A to już byłoby prawdziwą, bezprzykładną satyrą.

Raz wreszcie należałoby wybić z głowy Molocha czytelników, jakoby miał prawo cośkolwiek wymagać. To prawo wymagania bowiem jest pierwszą koncesją dla smaku i apetytów ulicy, jest pierwszym krokiem do niewoli duchów. Tylko my mamy prawo wymagania pokupu i podziwu, a krytyka winna baczyć, aby wielkiego Molocha nie oszukiwano.

To dziwne! Stałem właśnie u stóp słupa Memnona, kiedy weń ugodziły promienie wschodzącego słońca talentu Lucyana nie z Samozaty a z Krakowa: Rydla.

Słup nie brzmiał!...

Jak subtelnieje szybko smak artystyczny w Europie przykład w tem choćby, że Lemaitre chcąc wyrazić ujemny swój sąd o jakimś dziele pisał: *mais ce n'est pas de la littérature*. Dla Verlaine'a ujemny sąd streszczał się już w zdaniu: *et toute la reste est littérature*.

U nas pisze się jeszcze z zadowoleniem np.: „Nasi dekadenci“ nowa tendencyjna powieść p. Filipa Konopskiego nie jest coprawda literackim utworem, ale jest może więcej, bo zacnym czynem obywatelskim...”

W tych warunkach oczywiście o nuancach i subtelnościach smaku artystycznego i mowy być nie może.

Obrzydliwym i niegodnym już wprost jest ten dobrokiewiczowski ton w naszej prasie, z jakim ta notuje najdrobniejsze jakiegokolwiek sukcesu, efemeryczne powodzenia, problematycznej wartości krytyki hołdy, zaszczyty etc. rodaków. Więc pana X. nowelkę Y. tłómaczyło piśmko węgierskie Z., więc w miasteczku Hotzen-Plotzen cała krytyka jednogłośnie unosiła się entuzjazmem nad głosem pana Mazurkiewicza, a pan Marcinkowski święci tryumfy na occarinie w Milwaukee, a naszej rodaczce odprzągnięto konie na występach i występkach gościnnych tam a tam, a do domu zawiozły ją osły. Więc atleci z Liverpoolu przysłali autorowi „Quo vadis“ srebrną papierošnicę, więc nasz polski Edison dostał medal miedziany na wystawie przemysłowej w Trypstrylu za ulepszony hegar, więc opera naszego rodaka padła jak długa w Kiau-czau, ale ostatecznie była grana, więc Narodne Divadlo znowu nie wystawia dramatu pana Ibsenowskiego, ale ostatecznie miało go wystawić.

Itd. itd. i tak nasi sympatyczni reporterzy wypisują i notują skwapliwie i namiętnie każdy jak najbliższy dokument tego pocieszającego zdania opinii publicznej: „że o Polakach tak na świecie głośno“. A to zdanie raczej pocieszne niż pocieszające, to zdanie, to obrzydliwe „kłamstwo życiowe“ całego narodu, to piasek rzucany nam w oczy, byśmy ślepli, ślepli aż zaniewidzimy, to zdanie, to niby niewinne, a w gruncie swym bezczelne podsycanie szowinizmu dufnego mieszczaństwa, to podła kołysanka śpiewana coraz apatyczniejszej, coraz senniejszej energii narodowej. Hola panowie dziennikarze, nie róbcieź i z naszej prasy taką „cloaca maxima“, jaką jest prasa zagraniczna, nie kłamcie! Powieźmy sobie z zaciśniętymi pięściami i zmarszczonemi brwiami, ale raz wreszcie, głośno, zuchwale i wyzywająco bezwzględna prawdę faktu współczesnego. Nienawidzą nas, gardzą nami, lekceważą nas, drwią z nas, wyrzucają nas, wyśmiewają nas, bawią się nami, nie hakatyści, nie Moskale, nie biurokracya wiedeńska, nie Węgry, ale wszyscy, wszyscy przyjaciele ongiś i Sasi i Bawarzy i Francya i Paryż i Anglicy i Szwedzi i Amerykanie, *tout le monde!* Bijmy się w piersi, zaciśnijmy pięści, obliczmy raz, że nas do 23 milionów Lachów i wyprężmy cokolwiek zgniecione kolana i ręce. Spluńmy raz tak na te pchle hołdy, kłamanie tryumfy, błazeńskie sukcesy i powodzenia

pajaców naszych jak i na tę bezgraniczną pogardę, jaką dla nas musi czuć każdy Finlandczyk, Hannoverczyk, Szwajcar, Szwed, Duńczyk, Belgijczyk, Holenderczyk, Anglik, Amerykanin. Spluńmy śmiało i po staropolsku tak na te tryumfy naszych awanturnic arystokratycznych po salonach paryskich i nicejskich, jak i na te sukcesy naszych magnatów po szulerniach wiedeńskich i w Monte-Carlo, spluńmy na tryumfy naszych Nemrodów na gołębie w Cannes, jak i na tryumfy młodej pary z dwóch znakomitych rodzin, której Ojciec Święty miłujący... Polskę znów przysłał arcybiskupskie błogosławieństwo. Spluńmy śmiało na te specjalne luksusowe pociągi naszych gwiazd muzycznych w Ameryce, jak i na te piramidalne sukcesy Pytlasińskich. Ba, nawet nie stawajmy na rękach, kiedy kto gdzie znowu „Quo vadis“ przerobi dla cyrku, pamiętając, że „Chatka Wuja Tomasa“ rozeszła się dotychczas w 9 milionach egzemplarzy, a powieści Maryi Coreli, starej panny z Londynu rozchodzą się czasem w 2,000.000 egzemplarzy rocznie; pamiętajmy, że Sienkiewicz jest wielkim, a u nas największym, p o m i m o swej popularności wśród małomieszczactwa Europy i Ameryki.

A tymczasem spluńmy i na pogardę tych, co pogardzać nami mają już o ile nie prawo, to rację; zrobimy *bonne mine au mauvais jeu*, zarumiemy się ze wstydu po białka i podajmy o seperację z błagą od stołu, łoża i prasy. Naprawmy i zszyjmy znowu rzucony w rupiecie sztandar organicznej pracy, wytrzepmy z kurzu stare ideały romantyczne, zliczmy się, że nas przeszło 23 miliony i prężmy się. Może nas z czasem Europejczyk i nie nazwie arcykatolickim społeczeństwem, które z Hiszpanią dzieli losy i nagrody za arcykatolicyzm, ale może i nacyę naszą nie wymówi jednym tchem z Serbami, Turkami i Matabelą.

A przedewszystkiem niech prasa nasza nie będzie prasą narodu dorobkiewiczów, niech nie roztrąbia marnych tryumfów za marne zasługi w niemieckim świstku, francuskim tinglu, a amerykańskim cyrku. Czem bądź jesteśmy bowiem: raczej do kroćset dyabłów narodem wynędzniałych magnatów, ale przynigdy narodem parweniuszów, szczycących się z komplementów zagranicy, przynigdy narodem zjadających ostatki ze stołów pańskich...

Bezzębna krytyka znakomitych staruszków naszych, chcąc się oczyścić z zarzutu neofobii i okazać bezstronną, przyjmującą z nowego plonu zdrowe ziarno, a odrzucającą brzydkie plewy... uznała tylko neoromantyzm Rostanda, za „odświeżającą moralną atmosferę w poezji“. Edmund Rostand jest to jak wiadomo ta nowa, świetnie się rentująca fabryka wyrobów okolicznościowych, wierszy na pachnące mydełka, wierszy na karmelki, dla kalendarzy ściennych, na papier dla waterclosetów, do poradników dla piszących listy, do anonsów gazeciarskich itp. Założyciel fabryki, zachłanny wielbiciel Rudyarda Kiplinga, ciastek i arystokracji kosmopolitycznej, zrobił karierę na pewnej „Księżniczce z za morza“, pewnej „Samarytance“, nosie Coquelina i nogach Sary Bernhardt, sześćdziesięcioletniego „Orlęcia“. Romantyzm jego wyrobu jest zdrowy i strawny nawet dla cierpiących na wodną puchlinę w głowie, szczególnie zaś ulubiony i popularny (prawie jak Van Houtena Cacao) w sferach modystek, „panien zdolnych do bluzek“, poetycznych aptekarzy i światowych commis od koniaku i szampana.

U nas ulubionym jest w sferach sędziwych krytyków, a ci jeśli komu wróżą Rostanda laury, to tylko L. Rydłowi.

Czasem jednak i o p. Kozłowskim mówi się: „nasz polski Rostand“, ale w tem już pewna przesada.

Czem dla konwencyonalnej krytyki francuskiej np. Brunetiera (jednak bądź co bądź świetnego stylisty i erudyty) jest klasycyzm prozy francuskiej XVII i XVIII wieku, tem dla naszej konwencyonalnej krytyki wielka trójca romantyczna. W imię tych sakramentów, udrapowani w arcykapłańskie togi, wałęsają się po miejscu: święte świętych wielkiej spuścizny ideałów i cytując zawsze nie w porę niezgrabnie wybrane piękne zdania pięknych duchów, karzą i karzą, gromią, potępiają, krzyczą, hałasują i zgiełk czynią, tam, gdzie już cisza tylko być winna.

Biedne staruszki bez zębów nie zwalczą już tego, co się rodzi i kiełkuje.

Młodość do wielkich prochów na kłęczkach podróży, sarkofagi całować będzie i imiona błyszczące w mrokach przeszłości czcić, ale gdyby wielkie myśli wielkich kiedyś miały rzeczywistą

zgodność z małych staruszków małymi celami, to młodość z złotych sennych marzeń otrząśnie się może i bez żalów a pójdzie w przyszłość — tylko o jedno jeszcze doświadczenie starsza.
A z stylizowanych i fałszowanych cytat zadrwi.

Może nie w każdej rodzinie polskiej znajdzie się choćby jedna książka, „któraby się mogła znaleźć na stole każdej polskiej rodziny“, ale to pewne, że co w drugiej rodzinie polskiej znajdzie się w sypialni w szufladce stoliczka nocnego albo „Aphrodite“ Pierre Loyusa, albo „Demi-vierges“ Marcela Prevosta, albo jeszcze patryarchalny „Dekameron“ Boccaccia. Często bowiem w bezsennych nocach chce mąż lub żona przekonać się, do czego dochodzi rozpusta w bezbożnych narodach, a jak mało u nas jest książek, któreby się znaleźć mogły...
...w szufladce stoliczka nocnego w sypialni co drugiej polskiej rodziny.

Jest Renesans polskiej sztuki, jest, o jest. Ale jeżeli w nim Michałem Aniołem H. Sienkiewicz, boskim Benvenutem... Miriam itd. itd., to ja skromny ubiegałbym się o rolę... Machiavela, autora Mandragoli...

Jak olbrzymią, mocarską, żywiołową prapotęją jest fantazyja poetów, tego dowodem szalone szczęście Don Juana (od syropów) d'Annunzia, Don Juana (od koniaków) Przybyszewskiego i Don Juana (od sodowej wody z grenadiną) K. Tetmajera do niesłychanie... brzydkich kobiet. *Intentique ora tenetis, Risum teneatis amici!* A teraz porównajcież te kobiety z rzeczywistości z temi praciałami białych, pysznych, rasowych heroin-samic! Och, jak olbrzymią, mocarską, żywiołową prapotęją jest fantazyja poetów!

Rozmyślał St. Przybyszewski nad bardzo poważnym, bardzo istotnym, bardzo osobistym artystycznym problemem tytułu dla swej nowej manifestacji absolutu na bibule.
Tytuł winien był być nieograniczonym czasem i przestrzenią, tragicznym, assyryjskim, katolickim,

wobec panujących stosunków Wrześni, składek, HKT, Kujaw, coś tego i cokolwiek narodowym.

In hac lacrymarum valle już było; *Requiem aeternam, De profundis, Vigiliae*, już; *Pentateuch*, już; *Salve Regina*, może, *Mane Tekel Ufarsim*, nie, *Missa solemnis* nie, *Barkochba*, ależ nie, to *Alleluja*, nie, *Roraty*, nie, *Hosanna*, Ogrody Semiramidy, nie, Pieśń nad pieśniami, nie, Ave Maria! nie, Purgatorium, nie, Pagody Messaliny? Zamyślił się, podpął głowę smutnie, wreszcie wpadł na ideę, gdyż pisał i to bardzo trafnie:
Eli! Eli! lama sabachtani! (z cyklu: *Itte missa est*).

Mulier et baccalaureatus taceant in ecclesia. Po polsku: Żadna warszawska literatka, żaden profesor gimnazjalny w Galicyi nie powinien tracić czasu na pisanie ekiwoków krytycznych.

Gdyby Nordau był takim filistrem, jak oncle Sarcey a miał tyle talentu pisarskiego ile pan Flach, byłby Nordau prof. Mazanowskim.

Wiercie mi, że to umiłowanie miernot i optymistów ze strony naszych Kamczadałów, czytelników, jest tylko dowodem stadowego samolubstwa i tchórzostwa.

Pytasz pan, co to są tak zwane Koła literacko-artystyczne w Galicyi? O, to bardzo drażliwa kwestya, ale interesująca, ooo, bardzo interesująca. Są to, uważasz pan, kluby, skromne kluby, składające się z urzędników magistratów, urzędu cłowego, poczty i telegrafu, którzy mogą wykazać się tem, że żony ich abonują się stale na książki w wypożyczalniach któregoś z miast: Lwowa lub Krakowa. Do klubów tych dalej należą początkujący adwokaci, dentyści bez praktyki, emeryci instytucyj prywatnych, profesorowie gimnazjalni po egzaminie nauczycielskim, właściciele składów papieru, wybitniejsi introligatorzy, metrowie muzyki, pierwszorzędni fryzyerzy, panowie z Wydziału krajowego, Kas miejskich; atoli i ci muszą się wykazać np. tem, że są zwyczajnymi członkami Towarzystw Przyj. Sztuk Pięknych. Nadto obowiązkowo należy jeden

poeta, który wykaże się tem, że umie dobrać rymu do słów: maj, mój, las (np. raj, twój, kwas), nadto jeden malarz, który wykaże się obrazem o historycznym temacie, np. Sobieskim, ks. Poniatowskim, Kościuszką, albo przynajmniej próbami ilustracji do Trylogii Sienkiewiczowskiej. Nadto jako członkowie nadzwyczajni należeć mogą literaci wszelkiego fasonu i stylu, którzy przekroczyli 45 rok życia i malarze tematów swojskich.

Kluby te „pokładły“ wielkie zasługi dla towarzyskiego życia w sferach poczty i magistratów. Prezesem obierany jest członek, mogący się wykazać posiadaniem ubrania kontuszowego.

Kluby te mają swoją czarną flagę w razie wypadku śmierci któregoś z wybitnych urzędników Szpitala miejskiego lub Gazowni miejskiej. Nadto każdy z tych klubów ma swoją parę rapirów, swoje popiersie gipsowe Mickiewicza na szafie i swój portret Sienkiewicza na ścianie dominującej. Te kluby obchodzą też jubileusze 50-letniej pracy mniej znanych autorów, jak np. p. Pafnucego Warchoła, twórcy powieści „Górą nasi!“, p. Atanazego Miarki (pseudo p. Małomiejskiego), twórcy dramatu: „Z dymem pożarów“, p. Hilaryona Wędzonki, piewcy tomiku pt.: „Na swojskiej gęśli“... Nadto mają te kluby także pewnego rodzaju biblioteki i czytelnie, służące ku podniesieniu oświaty członków zwyczajnych i nadzwyczajnych.

W takiej czytelnicy krakowskiego Koła lit. art. kształcił się namiętnie np. ni mniej ni więcej tylko prof. Mazanowski.

Dlatego wybrałem standard-work prof. Mazanowskiego: „Młoda Polska“ za cel mych doświadczeń i rozmyślań, ponieważ dzieło to uważam równocześnie za standard-work najznakomitszego krytycznego niedołęstwa i naszego swojskiego, specjalnie sympatycznego snobizmu małomiejskiego, nadto, że wyrażając się poprawną polszczyzną prof. M., uważam dzielnego krytyka za jednostkę „czołową“ galicyjskich prof. gimn.

W mało interesujących dla prof. Virchowa mózgach profesorów literatury „ojczystej“ w gimnazyjach

w Galicyi i Lodomeryi tkwią głęboko wkute formuły książkowe o arcy mistrzach i arcydziełach. Tkwią głęboko daty życiorysów, herby matek i ojców autorów, przeraźliwie płytkie charakterystyki, głupie analogie, idyotyczne zestawienia, szablon „obrazów epoki“, mechanicznie komponowane treści dzieł, zarysy figur, wszystko pisane *ad usum Delphini*, tj. dla kielkujących umysłów chłopięcych. Dlatego w tych pracach krytycznych wielkich i małych prof. literatury tyle tej podręcznikowej erudycji, często nużącej, zwykle nic nie mówiącej. A więc ciągle o prozie Skargi, Trenach Kochanowskiego, Kordyanie, Irydyonie, Panu Tadeuszu, Dziadach.

Dlatego w nieinteresujących dla prof. Virchowa mózgach krytyków-nauczycieli z Galicyi powstają tak kolosalne idee, jak np. u prof. M., zestawienie „Ułudy“ Szukiewicza z... „Nieboską komedią“, figury Podosockiego z „Otchłani“ Konczyńskiego z... Masynissą.

I po tych zestawieniach idzie ujemny sąd o Szukiewiczu i Konczyńskim, bo „Masynissa o całe piekło (!) wyższy od Podosockiego“, a „też Ułudy zobrazował Krasieński w rysach wielkich i z siłą potężną“. Dlatego jednakże Masynissa jest o całe a Krasieński w, bo autorytet Krasieńskiego wkuto i wbębniiono w mózgi nieinteresujące dla prof. Virchowa, a o Szukiewiczu i Konczyńskim w żadnych „wypisach“ ani „podręcznikach“ nic jeszcze „nie stało“.

W nieciekawych [dla] profesora Virchowa mózgach krytyków dogmatyczno-filologicznych wszystko jest nader pedantycznie uporządkowane, zszufłakowane, usystemizowane, popaginowane. Szczególnie zaś podział literatury na epikę, lirykę, dramatykę itd. Liryka znów dzieli się na taką a taką. Potrzebne to dla umysłów maluczkich, ale dla piśmiennictwa współczesnego podział ten jest bardzo problematycznym, względnym, często fałszywym, gdyż jedne gatunki już wyginęły, inne skombinowane są ze sobą, inne powstały, inne doznały zasadniczych zmian i przekształciły się. — Ale doktorowie wszech nauk poetyckich, krytycy-pedagodzy wciąż jeszcze z dziwną lubością systemizują „liczne poematy należące do zakresu epiki“, niema tego w „dziecinie liryki“, „należy to do działu tak zwanej

liryki dydaktycznej“ itp. A wszystkie te działy, dziedziny, zakresy to tylko baryery wyścigowe, które pierwszy lepszy talent pełnej krwi bierze tuż przed nosem prof. Mazanowskiego.

Biada, trzykroć biada Sofoklesowi, Eschylosowi, Eurypidesowi i wszystkim notablom literatur greckiej i łacińskiej! Dla nich bowiem mają doktorowie wszech nauk poetyckich uwielbienie tak bezgraniczne, że wystarczyło im czytać arcydzieła zapadłych czasów tylko w skróceniach i treściach, niestartych brutalnością wieków. Ktoś mi mówił, że są to tylko ślepo wykute komunały, kult nie szczery, bo bezmyślny; ktoś mi mówił, że nie wierzy, aby indywidualność ludzka współczesna, *species baccalaureata*, wychowawiec systemu Bobrzyńskiego etc., mógł odczuć czystość, jasność i monumentalność linii piękna dramatycznego Greków. Ale ja temu nie wierzę, czytując choćby tak wspaniałe komplementa prof. Maz. a conto Eschylosa: „przemóżna harmonia, przemóżna wypukłość, druzgocąca wszystko potęga!!!“
W każdym razie prof. M. jest jednak znakomitym filologiem.

Bezwzględna cześć i namiętny kult mają także nasi doktorowie wszech nauk krytycznych dla Szekspira, co im się chwali, i dla Calderona ze względu na jego mistyczny katolicyzm, naszemu katolicyzmowi niby bliski i ze względu na jego wpływ na Słowackiego.

Pan Maz. np. wyrażając się jego słowami, „nie wytacza Szekspirowi procesu za to, że u niego szumi morze w Karpatach“, ale... p. Tetmajer nie jest ani Calderonem ani Szekspirem... Ergo... u p. Tetmajera powinna być ścisłość i skrupulatność historyczna w jego poemacie dramatycznym: „Zawisza czarny“. Dlaczego? Dlaczego, panie Mazanowski? Gdzie masz łaskawy pan dowód, że z p. Tetmajera nie będzie po latach może drugi Szekspir, a może jeszcze większy Calderon? Otóż ma p. Maz. dowód w tem, że w podręcznikach i „wypisach“, a encyklopedyach i programach wykładów wydziału filozoficznego o Szekspirze i Calderonie już stoi, a o p. Tetmajerze jeszcze nie. Dlatego p. Tetmajer winien zachować ścisłość historyczną.

Czy Dwina w XIV wieku (z dramatu p. Tetmajera: Zawisza Czarny) mogła do Zawiszy mówić: „chcę się wgrzyść w ciebie“, tak, no to trochę problematyczne...

Ale że prof. Mazanowski w XIX wieku w rzeczywistości to samo życzenie wyraziłby znacznie prościej i skromniej, to pewne. Jest bowiem różnica między ludźmi z poezji a ludźmi z rzeczywistości, między... światopoglądem Dwiny a światopoglądem prof. Maz.

Pewien sympatyczny krytyk w spódnicy, chcąc zadać Przybyszewskiemu cios śmiertelny za jego prawdziwe arcydzieło, najwspanialszą manifestację prozy polskiej, za „Święty Boże“, książkę studium o poezji Kasprowicza, bez przesady najpotężniejszą symfonię słowa polskiego w XIX wieku, zarzuciła mu, że pisze o łańch łubinu na Kujawach, kiedy tamże łubinu nie sieją!!!

O pani! I ciebie nie posiali, a jednak wzrosłaś ku ucieście bliźnich!

A jak śmie Wojewoda z Zawiszy Czarnej zwać Dwinę: porcelanką, kiedy nie znano porcelany wówczas jeszcze? pyta sympatyczny krytyk prof. M., tensam, który Szekspirowi nie wytoczyłby procesu za morze szumiące w Karpatach“.

Inny oto krytyk drwił z poety, który pisał o bohaterze swego poematu, że „odtąd chodził z pękniętym sercem po świecie“. Jak można światowe wycieczki odbywać z pękniętym sercem, kiedy najmniejsze draśnięcie osierdzia sprawia, że itd. Inny jeszcze krytyk urągał „poecie“, który pisał o swej bohaterce: „szybko tedy weszła hrabina Eufrozyna do sklepu i kupiła parę rosyjskich kaloszy za 3 złr.“. Jak i gdzie można kupić parę rosyjskich kaloszy za 3 złr. to doprawdy ciekawe! bo o ile on krytyk wie, poniżej 4 złr. nigdzie porządnej pary dostać nie można.

Oto dowody, jak wszechstronnie wykształconą i sumienną jest nasza krytyka oficjalna.

Bardzo ciekawym przyrządem obłąńczącym z dawnych czasów był t. zw. baran, tj. olbrzymia barania głowa, przymocowana do końca tęgiej belki, którą walono w mur twierdzy, ażeby się zwałił. Podobnym baranim łbem biją i współcześni nam

krytycy mijających pokoleń o twórczość nowych ludzi w literaturze. A tym baranym argumentem to: *nil novi sub sole*. Ach, sędziwi panowie są bardzo, bardzo doświadczeni, pojegli wszystkie rozумы, i mózdzki z małomiejskich kuchni, nie z jednego pieca chleb, nie z jednym znakomitym rodzimym beczkę soli, ach oni już wszystkiego używali na podagrę i nic nie pomogło, a zęby i włosy na starość zawsze wylatują. Ach, oni wiedzą doskonale, że młodość musi się wyszumieć, że młodzi zawsze coś chcą reformować, że to przejdzie ta cała „secesya“; a że w tem wszystkim nic nowego pod słońcem oni wiedzą o tem doskonale. Ciekawe, czy przed Mojżeszem lub Sądem Ostatecznym Michała Anioła stały też osrebrzone siwizną nieuki i powtarzały: *nil novi*... Ciekawe czy dla p. Choińskiego, lub biskupa Niedziałkowskiego a dla radcy Krechowieckiego fonograf, kinematograf, telegraf bez drutu, proch bezdymny, itd. to także: *nil novi*...

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, głupcy tylko choć tysi jak głązy rzeczne w słońcu, nie dadzą sobie imponować. Albowiem, aby czczono ich mądrość, innych mądrości nie uznający, każą wierzyć, że wszelkie zbawienie jakie jest, w ich ograniczoności jest *et nulla ex Oriente lux*.

I jeszcze powiadam Wam, że choć zobaczycie własnymi oczyma nowego Michała Anioła, nowy poemat z marmuru, bezżębne autorytety pouczą was, że *nil novi sub sole*. A wy głupcy ucieszycie się niepomieranie w waszej marnej bojaźni przed mroczną i straszną przyszłością, bo i dla Ludwika XVII pierwszą dopiero nowością był... szafot.

Jeszcze jedna jest rada ku naprawie Rzeczpospolitej krytyków naszych mówił mi pewien dowcipny pasażer z vis-a-vis imperyalu tramwayowego w Europie: Oto wszystkich tych starszych panów powyrzasać, jak nie pomoże, powyrzasać z dziecinnego pokoju. Wleźli tam bowiem z sympatyi dla guwernantek i nianiek, a nie chcą wyleżeć, bo ciepło i wygodnie; ale też piszą ciągle przy dzieciach, dla dzieci, po dziecinnemu i z tego stanowiska dziecinnego chcą ferować wyroki o sztuce, która pieluch, rycynusu i lewatywki nie znosi.

Prof. Mazanowski, jeden z tych krytyków dla dziecinnego pokoju, o tyle „zahartował swój charakter w życiowym boju, że nie czuje klasowej czy stanowej nienawiści, a raczej ze spokojem spogląda na często spotykaną tu i ówdzie nieprawidłowość, wiedząc, że bywa ona koniecznym rezultatem słabości i niedoli ludzkiej, na którą nie pomogą ani sarkania, ani nienawiści tylko wzajemne porozumienie i sojusz“...

To szczytne, o to szczytne, ale to głupie, och obrzydliwie głupie i marne.

Patetyczność słów jest tu tylko płaszczem dla przeciętnego serwilizmu IX rangi.

Maseurki i konfekcyonistki, kelnerki i subretki paryskie, przeczytawszy jaką powieść A. France'a skarżą się kancelistom z ministeryum i subjektom od delikatesów, że: *ça manque de texte*. Ale już, gdy podochociwszy sobie absynciną, zanucą *Ronde des Marmités*:

La nuit tous les chats sont gris,
Dansons la ronde;
La nuit tous les chats sont gris,
Dansons la ronde.
Faisons le tour de Paris
De Montmartre a Mont-Sourris...

to i o treść im już nie chodzi, bo wiedzą, że Privas to nie Dumas. Naszej krytyce oficjalnej jak maserkom paryskim ciągle jeszcze w powieściach za wątko, za skąpo, za mało kanwy powieściowej, za mało intrygi, za mało treści, bajki, anegdoty, opowiadki, awantury. Taki p. Mazanowski np. pisze: „dusza i nastroje, wizye i mgławice skąpy to obszar tematów“!...

Niektóre reumatyczne egzemplarze starodawnej krytyki cierpią przewlekłe na monomanię antysocyalistyczną. Przebaczą wszystkim wszystko i hedonizm i sadyzm i cynizm i okultyzm i grafomanię i pornografię i estetyzm i pesymizm, ale nigdy, przenigdy dźwięków, przypominających Carmagnolę, nigdy t. zw. *»Erdgeruch«*, nigdy tendencyi umiłowania bezprzykładnie nędznej wegetacyi robotniczej, ni-

gdy gloryfikacji barykad i wstrząsania zmurszałem belkowaniem burżuazyi.

Niektórzy z tych monomanów antiradykalnych mają węż szkockich ceterów i ponterów.

Taki Mazanowski zwęszył w „Napierskim“ Kasprowicza „już nie tylko ludowca, ale nawet socjalnego demokratę“! Brrr... Czując dokoła siebie „krecią robotę socjalistyczną“ odkrył, że „Kłątwa“ Wyspiańskiego jest „z tematu na agitację socjalistyczną zrobiona“! Brrrr!

Och Panie M! Trywialny Demokrato!

Według pojęcia krytyków starej daty, krytyków jubilatów i ich następców, krytyków moralistów czy pedagogów, wszystko w pięknym piśmiennictwie dzieje się z metody: *Toute finit par le canon*. Poeta, autor, literat najpierw studjuje sumiennie metody pisarskie, następnie oczywiście zdaje np. przed żoną swą egzamin z metod. Jeżeli egzamin zda z postępowaniem chwalebny, zabiera się według metod do pisania. Panu Mazanowskiemu znane są wszelkie metody, o, *nil novi sub sole*. „Nie trudno“ więc „wyśledzić wzory, na których Żeromski się kształcił: Dostojewskiego: Zapiski z Martwego Domu, Turgeniewa: Pamiętnik Ochotnika, Gogola: Rewizor z Petersburga. Potem studiował naturalistów francuskich, od nich przejął pesymizm, niewiarę w uczciwość kobiet, drobiazgową analizę stanów psychologicznych“.

Kolosalne! Żeromski przejmujący pesymizm od Zoli! Żeromski studiujący Rewizora z Petersburga, przejmujący od Maupassanta niewiarę w uczciwość kobiet!

„...Resztę dał mu talent i życie“ — kończy humorysta *malgré lui* prof. Mazanowski, któremu brak tej reszty, wspaniałej, jedynej reszty: talentu i życia. „Objektywizm i spokój w malowaniu Sieroszewskiego“ jest zaś „owocem metody Zoloskiej“.

Kolosalne! Sieroszewski studiujący w jurcie tunguskiej metodę Zoloską!

Nie p. M., tylko pański spokój socjalny jest istotnie owocem... metody: Bobrzyńskiego. Co prawda, u Sieroszewskiego jeszcze „jego metoda rzuca na opisy niektórych scen swych jaskrawe połyski“, a u p. Mazanowskiego nic na nie nie rzuca jaskrawych połysków...

Prof. Mazanowski wyśmiewa i wyszydza poetów, że tęsknią za czemś „nieznanem, mistycznym, kryjonym“. I słusznie.

Bowiem tęsknić powinni za kiełbasą, piwem pilzneńskim i zbawieniem wiecznym. Wtedy nie zasłużyliby sobie na wyśmianie i wyszydzenie tak znakomitego pedagoga, jak prof. M.

O niesłuchanej popularności H. Sienkiewicza zaświadczyć może już i ten fakt, że wesole dziewczęta z bulwarów zaczepiają spóźnionych przechodniów obecnie poważnymi słowami: *Quo vadis domine! Vademecum...*

Ale i St. Przybyszewski pocieszyć się może, że jest popularnym nawet w takim Miechowie, czy Olkusz. Słyszałem tam raz na jarmarku dwie przekupki, kłócące się ze sobą z bezprzykładną furią.

...Bestyo babyłońska! krzyczała kupcząca owocem Potocka do handlującej wędlinami Raczyńskiej.

...Samaś pani babyłońska...

...Swińska androgyno! krzyczało od owoców.

...Czekajże znowu. Wytnie panią w zęby mój stary, to zobaczysz słoneczną Hierusz-Halaim.

Ale Raczyńska już i nie słuchała, ale odwróciwszy się tyłem wypięła na Potocką potwornej wielkości nągą duszę.

PAUZA

Rozsiadł się wygodnie w przepysznym swym fotelu, krytym tygrysią skórą, Grand-Charmeur Warszawy, Atlas Kuryera Warszawskiego, Niezwyciężony Kaprys kultury polskiej XX wieku, Maharadża Rabski. Owinął się podwójnie szczeru-jedwabnym kochinchinskim szlafrokiem z czerwonymi smokami, w usta włożył szczeru-hawańskie cygaro (Florina, Pedro-Ximenez.)

W tej chwili lokaj-murzyn podbiegł, ze złotego pudełka nasiewanego brylantami wielkości fasoli strączkowej, dobył zapalek z cedrowego drzewa, zapalił cygaro, następnie podsunął jeden stoliczek z Alhambry, wysadzany perłową masą, a na nim butelkę Chablis i bułeczki łososiem kryte i podsunął drugi stoliczek, arcydzieło koralowej roboty z Japonii.

Na stoliczku leżała księga p. t. Wesoły a wstydliwy Pamiętnik iście połanieckiego fejletonowania, też arcy-przeciętnego snobizmu szlachecko-mieszczańskiego w kompromitujących wielką przyszłość poglądach na świat żywych i umarłych, na literaturę, wyścigi, Warszawę, Hamleta, Henryka Sienkiewicza, w niemałym trudzie ku pokrzepieniu serc, roku 1902 zebrany i drukiem uwieczniony. — Zawinił i niedźwiedzią oddał przysługę Fernand Hoesick, zięć Kuryera Warszawskiego, oraz członek Archikonfraterni literackiej imieniem św. Salezego, dawniej à recte Salomona.

Taki był długi tytuł księgi, po którą sięgnął p. Rabski ręką wypieszczoną przez piękne damy i upiękowaną pięcioma pierścieniami, z których piąty miał szósty największy i czarny dyament, przysłany p. Rabskiemu przez mr. Jamesona juniora z wdzięczności za artykuł o ś. p. Cecylu Rhodesie.

Dokoła w gabinecie p. Rabskiego paliły się w jaspisowych urnach kadzidła wschodnie, dwadzieścia lampek żarowych zalewało światłem biurko z różanego drzewa, perłowe...

Dość. W takim *mise-en scene* wyobraża sobie p. Rabskiego piszącego p. Andrzej Niemojewski, w tej sytuacji pełnej *charme* i komfortu Lukullusa specjalnie go lubi, te p. Rabskiego perfumy Atkinsonowskie specjalnie go łechtają i ergo akcja socjalna przeciw talentowi przekupionemu przez wszech-

władne warszawskie wielkomieszczaństwo. Ha! Ha! Ha! zaśmiał się serdecznie, choć gorzko myśląc właśnie o tem p. Rabski i ja! ku pokrzepieniu serca czytać nowy dokument pedanterji monomana pt. Wesoły a wstydlivy pamiętnik...

I czytał. Czytał godzinę, dwie, trzy, sześć, po raz drugi to samo, przeglądał znów, podkreślał coś, notował, gorączkował się, osiem godzin, noc całą, wreszcie nad ranem księga wypadła mu z omdlałych rąk, głowa pochyliła się i zasnął, zapominając o czem tego dnia mówią, muszą mówić w Warszawie.

Zasnął i śnił dziwny sen.

Zdało mu się, że rzeczywiście miał raz w życiu sposobność rozmawiania z wybitnym dyplomatą angielskim o piękności i wdzięku Warszawianek, że rzeczywiście odbył z nieboszczykiem Li Hu Czangiem długi interwiew w sprawie bojkotu przemysłu niemieckiego, że rzeczywiście raz zwiedzał szczegółowo szpitale wzorowe w Londynie, że rzeczywiście często przebywał za kulisami Burgtheatru w Wiedniu, za kulisami teatru San Carlo w Neapolu, za kulisami Odeonu paryskiego i pozwolił sobie dać tłómaczyć znakomitym aktorom tajemnice maski i charakteryzacyi, że rzeczywiście Mounet-Sully od czasu zaprzyjaźnienia się z nim gra znacznie ciszej i spokojniej, że rzeczywiście kiedy zwiedzał ochronki dla dzieci w Filadelfii, to znakomity profesor tajny radca dr. Havelock objaśniał go i tłómaczył mu urządzenia, że rzeczywiście był, więc może porównać ideę wyścigów trzylatków w Freudenu, a w Longchamps, a w Southampton a u nas w Mokotowie, że rzeczywiście w Nowym-Yorku nie zauważył kompromitującej kwesty dam z high-lifu w kościołach katolickich, że rzeczywiście miał sposobność zwiedzać szkoły fachowe w Australii szczególnie w Melbourne, że rzeczywiście Bismarck kiedy ostatni raz rewizytował go w Poznaniu, musiał we wszystkich punktach dwugodzinnej dyskusyi przyznać mu rację, że rzeczywiście Carolus Duran zmartwiony raz jego uwagą o swym obrazie, o której dowiedział się od p. Bourgeta, poćwiartował obraz na części, a Rodin w tej samej sytuacji wrzucił arcy-rzeźbę do starej studni, że rzeczywiście Ryszard Strauss na jego prośby komponuje poemat muzyczno-filozoficzny pod tytułem: „Siemaszkowa“, że rzeczy-

wiście studyował stosunki agrarne w Hessyi, przemysł opiumistyczny na Jawie, handel dziewczętami w Buenos-Ayres, że rzeczywiście Jerzy Brandes opowiadał mu o Przybyszewskim, jako to tylko alkoholik bez krzty, bez zdźbła, bez cienia talentu, że rzeczywiście on, p. Rabski miał najwięcej szans dostania nagrody moralności na konkursie imienia Montjoja, że wreszcie rzeczywiście dostał nagrodę moralności, potem nagrodę genialności imienia Nobla, potem stary pantofel po Piotrze Aretynie, parasol po Villemesancie, portcigarre od Steada...

I p. Rabski się budził, budził po tęczowym, najpiękniejszym śnie życia swego, budził do prozy dnia powszedniego, do zwykłego *charme*-oblagowywania Warszawy, aby miała o czem mówić po „Kaprysie“.

Zaspanem jeszcze okiem powiódł po swym gabinecie, po portretach Leona XIII, p. Siemaszkowej, Sienkiewicza, K. Laskowskiego, Hardena i pierwszego polskiego dziennikarza Fredrowskiego Pappina, poczem oko jego spoczęło na „ostatnim Hö-sicku“ na twarz wystąpił paniński rumieniec, uśmiech radości, czy nadziei, i p. Rabski dzwoniąc na murzyna, aby mu przygotował wannę i wlał do wody butelkę Roederer-Gladiateura równocześnie szeptał do siebie:

...Zobaczycie, czy ja wam ku pokrzepieniu serc nie kropnę drugiej Trylogii Troglodytów... zobaczycie... hahaha, porównajcie pierwocyny ducha moje, tak moje, także w niemałym trudzie, o wcale nie małym trudzie ku służbie Bożej fabrykowane a... jego. I z bezbrzeżnym lekceważeniem spojrzął na portret olbrzymi H. Sienkiewicza.

Mówiono w małym kółku o przecuciuowości J. Słowackiego. Ktoś bardzo niefortunnie wyrwał się z tem, że Słowacki przeczuł także i „Młodą Polskę“. Zapanowała bardzo krępująca cisza, nie patrzano sobie w oczy, zdawało się, że wywiąże się sytuacja błyskawicowa. Aby wprowadzić nastrój tęczowy i równowagę duchów, rzekłem:

...W każdym razie n. p. przeczuł choćby p. Hö-sicka.

???????

A twe koszule porzną na szkaplerze

A twe papiery — choćby to był tylko

Od ekonoma list, albo przymierze
Wiecznej miłości z Handzią lub Marylką,
Fernandek łzami rzewnymi wypierze
I w sztambuch wklei albo przypnie szpilką,
A twój but prawy powieszę w Sybylli,
A o znikniony lewy będą skargić.

Mówi H. Sienkiewicz, że wszyscy nasi wielcy pisarze kończyli mistycyzmem. Oto szlachetny i przynigdy przedwczesny dokument tej niezwyklej w olbrzymach talentu skromności u pierwszego gentlemana Polski.

Urywek z kroniki dziennika: Sport literacki:
„...możemy z naszymi czytelnikami podzielić się radosną wiadomością, że champion grafomanów polskich mister Josaphat (pseudonym p. Józefata Nowińskiego), który lat poprzednich wziął rekord w napisaniu najnudniejszego dramatu konkursowego, obecnie wziął pierwszą nagrodę i dar honorowy (maszynę do pisania z motorem benzynowym) za najnudniejszą powieść polską o 8.705 stronach. Pogłosce jakoby znakomitemu naszemu championowi miał się ukazać w halucynacji obrażony duch filozofa Spinozy i jakoby przełożył go kilkakrotnie średniowiecznym kosturem po plecach, musimy stanowczo zaprzeczyć już wobec tego, że mister Josaphat jest stanowczym wrogiem halucynacji, epilepsji i wogóle alkoholu.

Pewien angielski wielbiciel H. Sienkiewicza o widocznie wybitnym talencie statystycznym i obojętności na ideę emporium wszechbrytańskiego nadał redakcji *Timesa* list, w którym dziwi się, że i *Times* daje się unieść obłudowi wielkości Wszech-Brytanii i np. chwali obecnie z tego, że Anglicy ubili w trzech latach 32.000 Boerów...
„...sam p. Sienkiewicz, Polak wybił w przeciągu 12 lat według moich obliczeń cztery kroć stotyście siedmset czterdziestu ludzi, z których niektórzy mieli prawdopodobnie wzrost 2 metrów 9 decym., a siłę czterech koni parowych.“

W małym kółku młodych krytyków Polski rozprawiano entuzjastycznie i prawie bombastycznie o p.

Feliksie Jasińskim, spóźnionym o lat 20 apostołem nipponoszczyzny w Abderze.

Dla mnie ten człowiek jest jakimś mistycznym (dosłownie) Latającym Holendrem w sztuce, który na swem strasznym widmie-okręcie, na Mandze, przepływa ocean konserwatyzmu filisterskiego, mówił jeden.

...Dla mnie ten człowiek, ten, że tak się wyrażę, ostatni etap przyrody na drodze do doskonałości, to jakiś mistyczny Orland szalony, który płonąca pochodnią oświetla tłumom arcycuda piękna, ukryte w cieniach bydłowego zaślepienia filistrów, mówił drugi.

A dla ciebie? pytał pierwszy, zwracając się do mnie. Dla mnie, dla mnie,... aby już zostać w mistycznej atmosferze, którą zasłoniliście mi, że tak powiem „konserwatyzm i zbydlęcenie zaślepiatej filisterii“ dla mnie to... Żyd wieczny tułacz.

Wierzcie mi, lub nie wierzcie, to fakt jednak, że wielu z współczesnych poetów panteistycznie uwielbiających naturę, zna śpiew swych kolegów słowików i skowronków tylko z imitacji kłownów cyrkowych dobrych.

Chyba, chyba panowie krytycy jesteście jakby pokoleniem całem Talleyrandów, kiedy tak zgrabnie i chytrze używacie słów, aby zakryć wasze myśli. Myśli bowiem nie widać.

Znaną jest chyba owa bajka Andersena o tej biednej kacze, która się urodziła tak obrzydliwą i głupią, że ją wszystkie inne, cała rodzina i otoczenie skubały i prześladowały, aż uciekła w samotność. W samotności wyrosła na... wspaniałego łabędzia. Oj życzyć by należało naszym kaczątom lirycznym, „którym po mózgu pływają“ łabędzie marzenia, aby przez otoczenie krytyczne skubane i prześladowane albo w samotność zbiegłszy, wyrosły na łabędzi, albo aby ich śpiew kaczący był przynajmniej łabędzim śpiewem kacząt.

Żalił się znakomity malarz butów huzarskich i ułańskich spodni, Kossak Junior godnemu swemu panu

i mecenasowi Kaliguli, jak trudno mu o dobrego modela w Berlinie dla nowego Ataku, oczywiście któregoś z Wodzickich na ten a ten szwadron, oczywiście dragonów, gdzieś tam...

...*Das soll Ihnen besorgt sein*, pocieszył go klepiąc po plecach operetkowy krytyk sztuki.

W jakiś czas potem lakieruje właśnie Junior Kossak portret swój w charakterze pułkownika na owych 3 łokciach płótna batalicznego w atelier berlińskim, kiedy na schodach dają się słyszeć miarowe kroki licznego tłumu ludzkiego, stąpającego z hałasem. Pukania do drzwi, herein! i przez otwarte drzwi wchodzi do pracowni oddział policyantów z dwudziestu sztuk złożony, w pełnym umundurowaniu i uzbrojeniu z wąsami wysuwawkowanymi i podczesanymi „a la Haby“.

Nie potrzebował coprawda ogłupieć Junior Kossak, ale zawsze zdziwiony patrzy na raportującego feldfebla.

...Odkomenderowani jako modele dla pana barona z rozkazu specjalnego Kaligulii... I wraz zaczęli się rozbierać policyanci-modele wedle instrukcji kasarnianej...

Kossakowi Juniorowi nie pozostało nic innego, jak otworzyć wszystkie okna, odkorkować trzy butelki kolońskiej wody, trzymać chusteczkę silnie uperfumowaną przed nosem,... ale i malować.

Dziwnie bowiem nie pachniały modele Kaliguli.

W paryskiej pracowni słynnego batalisty berlińskiego Juniora von Kossak zjawił się pewnego dnia pogodnego monsieur Celestin Mouton, fabrykant musztardy z Marsylii. Wobec zbliżających się wyborów potrzeba mu koniecznie w bardzo szybkim terminie portretu swego dziadka tj. stryja raczej, ciotecznego stryja, raczej wujecznego, dość że p. Florestana Moufle, tak Moufle w mundurze pułkownika szwoleżerów, tak stanowczo szwoleżerów z III korpusu armii, tak... a oto jego fotografia.

I dzielny obywatel wręczył znakomitemu artyście fotografię przedstawiającą obrzydliwe bydle ludzkie rozparte na fotelu, sprośnie otyłe, śpiące.

...Z śp. Florestana trudno będzie zrobić pułkownika i do tego szwoleżerów.

...To może kapitana.

...Jeszcze trudniej.

...To artyleryi.

...Niemożliwe.

...6000 franków?

...Mało.

...8000 franków?

...Nie wiele więcej.

...10000 franków!

...I co jeszcze?

...Co? Jakto co? 10000 franków!... Wreszcie... no legię honorową, mnie to łatwo, bon?

...Doskonale!

I został Junior Kossak mniej więcej z podobnej okazji oficerem legii honorowej, choć monsieur Mouton pomimo portretu p. Florestana jenerała szwoleżerów przepadł sromotnie przy wyborach.

Jak wiadomo, mistrz Lwowa, Styka cierpiał dawnymi laty na nałogowe wizjonerstwo. Przy malowaniu najprzebrzydliwszych religijnych knotów miewał niebiańskie widzenia, wpadał w stan kataleptycznego transu, upadał na nędzną podłogę, padoł płaczu ziemskiego, szlochał ogromnym głosem i modlił się żarliwie. Manja ta wizyonerska (bardzo jeszcze popularna w krajach, z których nie przepędzono na cztery wiatry wnuków św. Ignacego Loyoli, w których odbywają się t. z. misye jezuickie, rekolekcje dla inteligencji, msze bohaterskie, kazania antysocjalistyczne, pielgrzymki cudowne, ceremonie byzantyńskie i t. d.), manja ta u mistrza Styki doszła do stanu niesłychanego napięcia duchowego, tak, że wielki malarz musiał często przerywać swą pracę, otwierać drzwi wchodowe do pracowni i przy otwartych drzwiach padał na klęcznik stojący na środku pracowni i w ekstatycznej sytuacji i pozie pozostawał długi czas, widząc dzięki specjalnej łaskowości Ducha Świętego, to czego inni śmiertelni nigdy zgoła nie zobaczą.

Więc wieść o błogostawionym żywocie i cudownych widzeniach mistrza rozeszła się u Lwowi i po kraju Sodalicyi Maryańskiej.

Pewnego jednak razu odstawiał mistrz na płótnie z góry zapłaconą: „Św. Zofię z trzema córkami“ dla kościoła parafialnego w Ciężkorypinie Wielkim czy Małym. Pozowała do Św. Zofii bardzo piękna ruska młodociana, a mistrz Styka ledwie zaczął trzęcie z nią posiedzenie, przeczuł, że tym razem napięcie jego duchowe silniejsze jest, niż zwykle i że grozi mu nieodwołalnie kolosalna wizja z drugiego

świata. Podszedł tedy do drzwi, ale tym razem nie otworzył ich, lecz przeciwnie zamknął na dwa spusty, zasunął jeszcze rygiel i nastała cisza.

Minęła dobra godzina; przy drzwiach zamkniętych pracowni zebrała się jak zwykle spora garstka ludzi ciekawych i nabożnych, kiedy mistrz Lwowa otwierał drzwi szeroko.

Mołodycia siedziała znów na podwyższeniu, mistrz Styka rzucił się na klęcznik, tłum szeroko otwierał usta.

Dzięki tylko mołodyci miał bowiem mistrz Styka tego dnia aż dwie wizye: prywatną i publiczną, ezoteryczną i galicyjską. Szczęśliwy!

Najweselszy krytyk warszawski p. Nowiński porównał „dowcipnie, wytwornie i szlachetnie“ całą twórczość Przybyszewskiego z domem obłąkanych i kończąc swoje „poważne, artystyczne, ideowe“ studium o nim, miał wrażenie opuszczenia w tym domu obłąkanych posady posługacza. Racya p. Józefacie! W tym domu obłąkanych pan byłeś tylko obsługaczem, nietrafnie przez Redakcję „Wędrowca“ do służby „Bożej“ zgodzonym, i ze służby wyrzuconym za barbarzyńskie i brutalne obchodzenie się z najznakomitszym pacyentem z olbrzymiego szpitala chorych dusz polskich.

„Białych pawie nie potrzeba nam sprowadzać aż z Chin“ poucza Przybyszewskiego z pocziwą złościwością Gasparone p. Nowiński, „bywają one chowane i u nas po obywatelskich domach“ (gdzie także uchowała się ta milusia figurka guwerneraheloty, o której p. Nowiński wypisał obrzydliwie długą powieść, dawaną do czytania złoczyńcom w miejsce kary czteroletniego więzienia z postem, chłostą i torturami.)

Więc naprawdę przysyłają nam Chiny białe pawie p. Nowiński? Oto wyślijmyż do Chin z wdzięczności choćby jedną białą gołąbkę, Pańską gołąbkę. Dobrze? Z wdzięczności...

Do szmermelu metafizycznego Przybyszewskiego: „dla duszy dwa a dwa może być milion, ponieważ nie zna intervalli ani w czasie ani w przestrzeni“... dodaje parodysta Odrodzenia, jedyny

człowiek, który potrafił wreszcie raz na zawsze beznadziejnie ośmieszyć konkursy dramatyczne w Polsce i w szalonej pysze tego tryumfu nazwał się „duszą nieprzemakalną dla powodzi zdarzeń“...
..... p. Nowiński, następującą ironiczną i jasną uwagę: „ponieważ pasynki podmiotów Hegla są krępakami prawdy absolutnej“...
Zrozumie to chyba p. J. K. Kozłowski, jedyna dzielna placówka pozytywizmu warszawskiego w Krakowie.

Jeden z nielicznych młodych pornografów w mieszczańskim guście, autor liberalno-senzualnego tomu ramotek p. t. Świekra, metafizyk wczesnie nawrócony do dogmatów p. Nowiński twierdzi szczerze i śmiało, że „najszczerzy, możliwy dla męża stanu (?) pogląd na świat i ideowość to w Sienkiewiczzu filozofia Połanieckiego“... tej niezupełnie wyłonionej z wszechbytu głowy słowiańskiej..., tego ziarnka piasku, w którym bije wdzięczne serce dziecka na widok Leona XIII, Archi-Protektora brandenburskiej polityki..., tego najmarniejszego egzemplarza najmłodszych Aryów... Filozofia ta szczytna następująca:

...niech dyabli biorą. Bo to z jednej strony tradycje, nasze swojskie, rodzime, pocziwe, piwna zupka, Zagłoba, żydy na gałęziach, maślacz, ale Sodalicya Maryańska bądź co bądź, Targowica ale ksiądz Marek, ruble ale i szkaplerze, tysiąc lat życia Bóg czy dyabli wiedzą ilu pokoleń, ilu zacnych gniazd, antenatów, familii, koligacyi, rodów można rzecz społeczeństw, którym było, jest i Bóg da, kiedy liberałów dyabli wezmą, będzie dobrze w tych weselach, chrzcinach, bierzmowaniach, spowiedziach i innych ceremoniach i formach, dalej mociumpanie psia-krew powaga, autorytet, majestat powiedziałyby dyabli wiedzą ilu głów świętych, kardynałów, apostołów, proboszczów, Ojców Jezuitów, którzy wszystkie te formy w kupę uważają za jedyne, wygodne, moralne, solidne, praktyczne i honorowe, a z drugiej strony kto taki? Ja, Maślankiewicz, Przepiorkowski, Bydełko dr. Wieprz, ten zwaryowany Waśkowski, ten z przeproszeniem świnia, no bo już obrzydliwie, z żydami oszukuje i spekuluje zbożem... jakże mu tam Połaniecki... A ja zwykły kamienicznik, ja com z traktyerni studenckiej wydusił marne 60.000 rubli, ale przedtem na fabryce mydła paskudnie zbankrutowałem, więc ja

niech dyabli biorą *simplex servus Dei* miałbym mieć pretensję, że wymyślę coś sprytniejszego od żydów, no bo od apostołów, coś w co się Pan Bóg lepiej pomieści z Synem Bożym i Duchem Świętym, ja?... A niechże mnie Bóg broni, a niechże mnie dyabli przedtem wezmą, nimbym zaczął wymyślać i — myśleć itd....

Pana J. Nowińskiego, osławionego fakira Trylogii, lubieżnika-demokratę, metafizycznego gadułę, jednego z smętnych rzeźniców warszawskiej krytyki nazwał pan Rabski krytykiem-psychiatrą, a ja krytykiem psychopata:

Abulia acuta cum stupore, dementia progressiva, hypertrophia sensualis etc. etc.

Jestto nieuleczalny osobnik, cierpiący obsesyjnie na zboczenie płciowe do bohaterów i bohatererek H. Sienkiewicza. Pod wpływem lektury nieszczęśliwy wpada w stan kataleptyczny i jak „swobodnie zeznaje „drży na całym ciele“, „oczy rozszerzają mu się przerażeniem“, „włosy jeżą się na głowie“, „gardło wysycha“, „doznaje fizycznego bólu“, „coś nim ciska o ziemię“, „doznaje sugestywii piorunu“, „coś mu duszę w proch ciska“, „gotów jest iść na śmierć“ etc.

Ten wyjątkowo nieszczęśliwy typ histeryka nazwał pan Rabski „krytykiem-psychiatrą“.

Krytykiem-psychiatrą!

Pan Rabski!

Bravo!

Czas jakiś obiegała Warszawę dziwaczna plotka, że któryś z cenionych w Kuryerkach literatów oszalał, osiadł na stałe w Tworkach i cierpi na skomplikowaną, ale nieszkodliwą manię. Ustawicznie tedy siedzi na podłodze przykucnąwszy po turecku, na małych karteczkach pisze bez zmęczenia ciągle a, b, c, a, b, c, piec żelazny w rogu celi nazywa krytykiem, raz zdaje mu się, że jest rotmistrem z Trylogii, raz że Wołodyjowskim, to Skrzetuskim, to Podbipiętą, to Zagłobą, to Kmicicem, to znowu przeżywa siebie sceptykiem do szczęścianu, idyotą kwadratowym, romboidem nonsensów, ośmiościanem głupoty warszawskiej, to znowu krzyczy, że jest bohaterską organizacją, to znowu wydaje mu się, że jest cesarzem chińskim i wtedy bije

głową upornie o podłogę i powtarza ciągle bezmyślnie: dałem Sienkiewiczowi gałkę mandaryna, a on mnie wyrzucił za drzwi, dałem Sienkiewiczowi gałkę mandaryna a on mnie wyrzucił, dałem Sien... Plotka okazała się jak często w Warszawie bezczelnie złośliwym wymysłem. W tych czasach bowiem pan Józefat Nowiński zdrów dzięki Bogu na ciele i umyśle wił się w konwulsjach estetycznej ekstazy czytając po raz setny: *Quo vadis*.

„Sztuka“ mówi pan Józefat N. „przyznaje się tylko do tych kart, w których duch nie usiłuje wywierzgnąć z duszy“.

Że jednak duch wywierzgnął z krytycznych krotchwil p. J. Nowińskiego, dlatego krytyka nie przyznaje się do kart jego.

Jednym z najbardziej gorzkich, czy cierpkich dokumentów niższości naszej rasy jest do rozpacz doprowadzające, zwierzące prawie barbarzyństwo swojskich okazów mecenasów sztuki, krajowych protektorów piękna. Ludzie ci ostatecznie ubierają się niezłe, są porządnie ogoleni, mają dość przyzwoite maski, normalnie żargonują po francuzku, używają dobrych perfum, jedzą porządnie, jeden z nich nawet jeździł po Morzu Śródziemnym na yachcie królowej hiszpańskiej, inny jest nawet nielegalnym synem któregoś z panujących, inny gra wielką rolę we Wiedniu, a jak ci w formach dystygowani jegomoście zetkną się bezpośrednio z protegowaną sztuką, gdy palcami dotkną mózgu artysty, wówczas w duszę artysty chcą wchodzić w kaloszach i okazują się dzikimi okazami „najmłodszych Aryów“, gburowatymi Słowianami bez żadnych tradycji kulturalnych, słoniami w sklepie zwierciadeł weneckich, rzeźnikami w żółtym buduarze w Wersalu, polskim systematem w filozofii... Np. niejaki Korwin-Milewski, człowiek ostatecznie tak bogaty jak mój szewc z Berlina, który mi dostarcza obuwia, a dziwnie podobny do restauratora, który mnie zawsze własnoręcznie obsługiwał w Marsylii. (Nawiasem mówiąc pierwszy ma w swym salonie trzy wielkie Boeckliny, drugi przelicytowuje wszystkich, gdy chodzi o jaką rzeźbę Dalou). Otóż ten pan Milewski np. zamówił raz u St. Witkiewicza pejzaż, jak mówią najzłośliwsi, aby go z profitem odsprzedać jakiemu sąsiadowi na Litwie.

Kiedy St. Witkiewicz pejzaż wymalował, przychodzi do niego ów bogaty szlachetka i nasadziwszy monokl, który mu dodaje pewnej pańskiej prezentacji, krytykuje, chwali, ale podparłszy się pod bok ośmiela się zrobić uwagę, że on Korwin Milewski, który podróżował na yachcie królowej Patagońskiej, którego lokajstwo hotelowe tytułuje Herr Graf i który utrzymuje żywcem dwunastu malarzy krakowskich, on panie tego, który (targuje się o każde 10 rbl.) on chciałby, aby pejzaż ożywił i na śniegu wymalować oczywista konika...

...Może osła?... pyta się ktoś trzeci obecny...

...Pan Witkiewicz nie robi portretów, dodał ktoś czwarty...

...Nie, konika, upierał się przy swoim artystycznym smaku pierwszy mecenas sztuki w Polsce.

...A to, odparł na to St. Witkiewicz, ja go panu wymaluję na osobnej ćwiartce, a pan go sobie szpileczkami możesz przypinać, gdzie się panu podoba.

Hrabia Lanckoroński, feudał polski z pretensjami Medyceuszów, mieszkający we Wiedniu, obejrzawszy sobie dokumentnie Salon Polski z nowymi obrazami, znalazł się w kancelaryi Towarzystwa, otoczony rojem spokojniaków malarzy i jął wyliczać obrazy wybrane szczęśliwców, które kupuje. Więc Męciny Krzesza olbrzymią kompozycję: „Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą“ i drugą kompozycję: „Widok sali szpitalnej zarażonych na kiłę“, dalej Żmurki cztery portrety subtelno fantastyczne z główek dziewic warszawskich od madame Ślimakowskiej, dalej Rossowskiego i Cynka dwie Obrony Trembowli, wreszcie pięć możliwie najgorszych pejzaży, przedstawiających cielsko dzika pokrwawionego na „sympatycznie modelowanym“ śniegu, (jak piszą krytycy rodzimi) — wszystko za sumę 5000 złr.

Równocześnie wsunął się do kancelaryi młody człowiek w krzyczącym czerwonym krawacie, podstąpił do sekretarza i szepnął:

...Mein Name Müller, Anton...

...Pan daruje, ale pan hrabia Lanckoroński... mruknął sekretarz i w dalszym ciągu brał udział w targach, krzykach i kłótniach, jakie potężnym malstro mem zawirowały koło osoby pierwszego polskiego mecenasa sztuki i koflowały od dwóch godzin.

Młody człowiek stał cierpliwie, wreszcie wyciągnął

z kieszeni bilet wizytowy i dwa banknoty po 5000 złr.

...*Erlaubens...*, szarpnął za ramię pana sekretarza, olśnionego blaskiem polskiego Medyceusza.

...*Erlaubens. Hier mein Name. Anton Müller. Hotel Royal. Bin Commis-voyageur in Sardinien-Büchsen. Frankfurt. Wollens mir abschicken das kleine Bildchen von Malcecki, Malecki, Mal... na, famos. Ich verstehe davon nichts, ja absolut gar nichts, doch imposant... Das ist mein alles... Anton Müller. Commis in Sardinien-Büchsen. Hotel Royal...*

Obok okopów św. Trójcy istnieją w Krakowie także Okopy Świętej Simplicitas przeciw napływowi ludzi Pankracego dzielną ręką inteligentnych analfabetów galicyjskich wzniesione. Na pojedynczych redutach poustawił hrabia Henryk kołtuneryi małomiejskiej—fejletonista p. Bartoszewicz swoich ludzi, pachciarzy patryotyzmu, spekulantów martyrologii, kamelotów messyanizmu, forysiców Opinii Publicznej; stoją bezradne, szerszym kołom nieznanne, podwórkowe autorytety, śmieszne w swym płacziwym tragizmie figurki: jakiś poseł nieadaptowany przez żadne stronnictwo, jakiś malarz profitujący cicho z braku ręki, jakiś oszust, który w 63 roku szył czamary dla świętych szaleńców, a teraz łże współczesnych, że z świętymi szaleńcami narażał życie, jakiś rozpity, złajdaczony w botikach przedmiejskich rzeźbiarz, jakiś wpadający w konwulsje alkoholiczne powieściopisarz-grafoman, cały szereg rozpaczliwie wykolejonych egzystencyj, ratujących się kultem tradycyi i nawdziwaniem na zawiane trunkiem czaszki sympatycznych konfederatek. Oto idealizm tuczony na pilzneńskiej cerevisii, oto ściek polskiej dekadencji na moment przed wpadnięciem w rzekę Zapomnienia, a potem w morze Przeszłości. Oto ostatni Mohikanie tej Polski, przed którą emigrowały wszystkie wielkie duchy plemienia. Oto wymierające pokolenie tych, co wielbili Deotymę a kochali Offenbacha, śpiewali jak tenorzy recitativa o ideałach i Polsce Jagiellonów, a jak swojskie odyńce spijali się na narodowych bankietach.

Oto dla młodego pokolenia Okopy św. Trójcy! A jeżeli z czasem ludzie nowego Pankracego zagarną te Okopy, ujrzymy scenę straszną: Hrabia Henryk łyków galicyjskich, fejletonista p. Bartoszewicz rzuci

się z bufetu Hawełki w przepaść, rzucając przed się kufel monachijski z krzykiem: Hawełka mnie zawiodł, umieram!

A poczciwa sentymentalna prasa galicyjska zamiast o katarze żołądkowym i jego strasznych skutkach pisać, napisze: „śp. hrabia Henryk mieszczańskie Afryki w Polsce nie mógł znieść kosmopolityzmu i anarchii ducha nowych czasów. Wolał rozbić ciemię o kant bufetu..... coprawda znakomitego handlu delikatesów niż..... itd...

„Wojna i pokój“. Nie o Tołstoja tu mówić będą arcydzieła, nie o zapasach gigantycznych Europejskiej Francji z Europejską Rosją, ale o konflikcie kilku Europejczyków zabłąkanych w dziewicze chaszce Europejskiej Afryki. Wyobraźcie sobie czystą dziewicę Ars, obnażoną stojącą na Rynku krakowskim, do której podbiega cały tłum rozszalałych żądzą gwałcenia samców z uniwersyteckim wykształceniem: Jezuitów, Kółko kontuszowe, Kółko Samogwałcicieli, Koło literacko-artystyczne, Kasyno Mieszczańskie, Kasyno końskie, Klub Sodomistów, znudzeni posługacze publiczni, piwowarzy, szachiści, malarze bez rąk, głuchoniemi kapelmistrze, kaznodzieje, niemowy itd. Nagiej dziewicy broni jeden jedyny p. Szczęsny Jasieński, w którym także niestety rozpalają się płomienie żądz parnych, a w oczach mu mgli się od przecuć upojeń miłosnych. Unus defensor Artis walczy jak lew Helwecji, ale gdy czuje słabnące wskutek nadmiaru pożądania siły, wrywa się i krzyknawszy na cały głos: Całujcie mnie mydlarze w kakemona! porywa dziewicę nagą, uwodzi i gwałci swobodnie w samotnem zaciszu pustego Muzeum Narodu.

A Afrykanie z Polski? Klerykali, pornografi, antysemita, patryoci? Rozbiegają się po wszystkich kątkach miasta i trzęsąc się z żądz umiłowania czystej dziewicy, tymczasem uspokajają chucie w objęciach Polityki, Krytyki, Doktryny, Tendencji itp. prostytutek Ducha.

Uszczęśliwiony *głos* całego prawie *narodu* wykrzykuje: Pokój, pokój, pokój.

Jeżeli należy wierzyć Oskarowi Wilde, kiedy mówi, że „nigdy nie można być dość wybrednym i ostrożnym w wyborze swoich nieprzyjaciół“, to pan Rab-

ski, krytyk Kuryera Warszawskiego, był znowu przesadnie niewybrednym i niemożliwie nieostrożnym w swoim wyborze.

Czyż można się było czegoś lepszego po nim spodziewać, powiedziałyby więc słusznie p. Andrzej Niemojewski.

Kiedy pewnego razu zwiedzałem największy w naszych okolicach Dom Zdrowia dla chorych umysłowo, dyrektor Zakładu, człowiek wyjątkowo sympatyczny i ugrzeczniiony, zaprowadził mnie do obszernej sali, w której umieszczono kilkunastu najłagodniejszych pacjentów. Na środku sali usypano im wielki pagórek piasku, a biedni chorzy jak dzieciaki z dziwną łagodnością przesypywały go sobie z rąk do rąk, poczem znowu na ziemię i jak mnie objaśniał dyrektor zakładu, zabawiali się tem zawsze aż do wieczora.

...Z jakiej sfery są ci pacjenci, zapytałem nieśmiało ugrzecznionego dyrektora, który ziewał pobrzękując pękiem kluczków.

...Ci? To są wszyscy, mój panie, zecerzy warszawscy, którzy w ostatnich czasach składali powieści pań Marrene de Courtenay, Janiny Nagoda-Gordziałkowskiej, Cecylii Kościalkowskiej, Zyndram-Walewskiej, Baudoin de Terpiłowskiej, Amelii Zumft-Morzkowskiej, Hajota-Bardzkiej, Przewoskiej-Lopuszańskiej itd., itd., itd. Nieuleczalni! dodał uśmiechnawszy się słodko i uderzywszy mnie silnie dłonią w plecy.

Poczem przeszliśmy wesoło do oddziału dla niebezpiecznych pacjentów.

...Pokażę panu wyjątkowy egzemplarz gatunku homo sapiens, mrucał dyrektor, otwierając dębowe drzwi do pokoju z cyfrą, rzecz dziwna, 44.

Na stosie zmierzwionej słomy leżał młody człowiek o zupełnie zwierzęcym wyrazie twarzy, z olbrzymimi paznokciami i włosami porośniętymi w kołdun; od czasu do czasu wył przeciągle i kopał podłogę nogami.

Łzy zakręciły mi się u oczu.

...A ten z jakiej przyczyny tak cierpi?... pytałem.

...Ten? To młodzieniec, który podobno przeczytał cały dramat C. Jellenty „Kraswę“.

I zwykle tak wesołemu dyrektorowi Domu obłąkanych zakręciły się łzy pod powieką,

Byliśmy raz w szampańskich humorach i bawili się zagadkami i łamigłówkami.

...Co to jest, pytał ktoś: *Zeit, Zeit und kein Ende?*...

...Wilhelm Feldman! wrzasnął ktoś.

...Nie.

...Bertold Merwin-Menkes i Malwine Posner-Garfein.

...Nie...

...Iwan Franko!

...Nie...

...Hopcas...

...Nie...

...Wieżność, zawołałem i wszyscyśmy zamilkli, jakby anioł śmierci musnął nas swem nietoperzem skrzydłem.

Świetnie pisaną jest „Literatura ostatnich lat“ W. Feldmana mówił ktoś. Poprawiłem go dyskretnie: „świetnie telefonowaną“ i obaj zaczęliśmy znakomite dzieło chwalić w niebogłosy.

...Cokolwiek za dużo „perwersności“ językowych, zauważył ktoś, o którym jeszcze „nie stało nic“ w tej Literaturze.

...Ale co za wspaniałość, przepychy tytułacy, chwalił ktoś: „na wyżynach okultyzmu“, „panowanie czarnej mszy“, „wzloty symbolistów“, „upadek dyaboli“, „kopuła syntezy“.

...Autor zapomniał jednakże i opuścił Spiridyona Cimirskiego, zauważył z silnym sarkazmem mały Adaś Nieznamirski, autor sonetu p. t.: „Noc zakryła rozpusty lubieżność banalną“.

...Niepotrzebnie rozpisał się nad tym Sienkiewiczem z Oblęgorka, dodał ktoś.

...Albo tym grafomanem Asnykiem!

...Albo tym hipokrytą doktryny Żeromskim!

...Za krótko o Androgyne.

...Za mało o Tańcu życia i błagi.

...Kiepsko o Godzinie cudu, jakich wiele.

...Słabo o Synagodze Szatana dla Warszawy.

...Nic o Synach Ziemi Szkalowanych Marnie.

...Przyznacie jednak panowie! krzyknąłem zirytowany, że duch secessyi unosi się nad całym dziełem, choćby wiedeńskiej, choćby nie duch, a w każdym razie odór.

...Tak na odór secessyi się godzimy, mówił nawet ten, o którym jeszcze nic nie stało w Literaturze W. Feldmana.

Miał bowiem lat trzynaście, a jeszcze pisać nie umiał...

Był uroczysty zlot duchów poetyckich w salonach sędziwej Safony warszawskiej Deotymy. Byli legalni i nielegalni synowie Kamoen, poważna diatwa Feba w smockingach i redyngotach. Byli Baliccy i Pileccy, dwunastu Jankowskich, tyluż Szterlingów, wielu Rapackich i Tatarkiewiczów, był i Or-Ot i El-Ka i Non-Sens i wielu, wielu gorszych poetycznych adwokatów przysięgłych i dziennikarzy. Sędziwa poetka jak zwykle tak i tym razem mocno cierpiała na żołądek i żałośnie skarżyła się zebranym, siedząc na królewskim stolcu starodawnym z wieku XVII. Poczem któryś z sędziwych poetów dał znak uciszenia się z powodu widocznie i notorycznie nachodzącego Deotymę Ducha Bożego: natchnienia i oznajmił wszem wobec, że dziś będzie improwizowało przez usta natchnionej matrony.

W rzeczy samej Deotyma ku ogólnemu zdumieniu wszystkich zaczęła improwizować swego: Sobieskiego, ustępy drukowane poprzedniego roku w Bibliotece Warszawskiej, ale improwizować z wielką niepewnością, wahaniem, pauzami i z bardzo bolesnym wyrazem twórczego cierpienia na twarzy. Od czasu do czasu nawet jęknęła w wysokim napięciu twórczej ekstazy, tak że nikt z zebranych o zdrzemnięciu nawet nie ważył się i pomyśleć, a niektórym zdało się, że owe pieśni chyba naprawdę jeszcze nie były już kilka lat temu drukowane. Wreszcie pieśniarka Boża przerwała, przeprosiła zebranych, że żołądek większy moczarnia od natchnienia i zmęczona opadła na fotel.

Po salonie rozchodziła się jakaś „wnęśliwa“ jakby określił Ant. Połocki, ale bardzo antypatyczna woń. Andrzej Niemojewski tłumaczył kilku zniechęconym, a nawet cokolwiek oburzonym sędziwym rytmom, że to właśnie jest woń inspiracyi, odor mysticus stale towarzyszący natchnionym extazom wielkich twórców. Ktoś zachnął się z oburzeniem i protestem. Wreszcie któryś Bożydar zaproponował, aby teraz ktoś z zebranych coś, tego.

Oczywiście zerwał się ktoś z licznych Szterlingów czy Jankowskich i z całą swobodą uznanej warszawskiej znakomitości wszczął wykrzykiwać swój osta-

tni wiersz wiosenny dla któregoś z kuryerków prze-
znaczony, zaczynający się od słów:
:Po mroźnym, śnieżnym zimy czasie
Dziś woń wiosenna na Parnasie...
Ironia była jak na warszawskie stosunki za jaskrawa,
ale nie rozmyślna, więc przebaczone ją jednemu
z niezliczonych Jankowskich czy Szterlingów...

PAUZA

Na konkursie Chimery pierwszą nagrodę złotą orchideę za wiersz dowolnej formy dostałem oczywiście ja.

Wiersz ten poniżej podaję, ponieważ bity w 100 egzemplarzach na prywatnym listowym papierze japońskiego mikada, rozszedł się tylko w sferach „twórców pofajerantowych“:

Dostojny pejzaż.

Kiedy zawory słonecznego chramu
Pchnę, wraz słońca buchnie światła biała
Na kruże kwiecia i łagwie lubystek,
Skwitłych na rżyskach w kształt dziwnego tramu.
Żertwą promiennych trut już okwiat wszystkich
Pada, rokitin i ostrożeń ciała.
Wasilki, Boże głędy, wszelkie łązki ziele,
Chmielowe kłęczce, gdzie ostępne nisze,
I co w wadłocach kępami się ścięte
Pobok byzopów więzia, chypru — wszystko dysze
Żądzy ościeniem wrzącej. A w dalach przed słońca
Żagwią pierzchają w korablach chmur runy
Mistycznych, nikną w nadirze bez końca.
W jasną paździerz padają z brzękiem słońca struny
W arabeski związując echa kanzoniczne.
Cisza. Zaś kiedy siny miesiąca porożeń
Wезде, na rżyska idą poświęty mistyczne
I strach na rabów rój do ludzkich stworzeń
Podobny. Z żółtych grud wojów omamy
Powstają sine od grobów wskrzeszenie
Wina się w blaskach gwiazd obrzydłe wieńce
Nietoperzy; starych streg rond półpijany
Aby uchrony zażyć przed ludzkim otrokiem
Po zamorach zmodrzałych chutnym plezie krokiem...

Miriam (NOMEN MAGNVM) prosił St. Lacka (NOMEN MAIVS), aby do Chimery (GRAMATICI CERTANT) napisał przed upływem XX wieku (TAT TWAM ASI) studyum o Biegasie (NOMEN MAXIMVM).

List na czerpanym papierze z prywatnych zbiorów lorda Actona datowany z Warszawy, początek stulecia, kończył się tymi akordami:

...W każdym bowiem wyjątku od gminnych empiryi trzeba (*es ist eine unueberwundene Thatsache in der mystisch-tragi-komischen Speculation, dass*

*man verrecken muss so wie so, und die Nachwelt
verlacht alle Geistreichkerlchens» (PETER HILLE)*
na inercyjny gaugizm warszawski

(Wszeteczeństwo z jutrzejszym dwuksztaltem
rzeczy umniczych kojarzące kościoła Narodo-
wego duszność nie uprości a zwojuje bezmiarem
zwykłego układu, jeżeli duszność statecznością
woli jaźniowej skrępowana nie wyzwoli nas od
przemian ogólnej woli takowych. C. NORWID)

reagować hieratycznym ciągiem pióra

(»Falling, falling, Los fell and fell
Snuk precipitant heavy down, down
Times on Times, night on night, day on day.
Thrut has bonds. Error none. Falling, falling«
W. BLAKE)

i rozróżniać to, co jest pięknem od tego, co kocha
piękno. (ΕΝΔΕΗΣ ΑΡ ΕΣΤΙ ΚΑΙ ΟΥΚ ΕΧΕΙ Ο ΕΡΩΣ ΤΟ ΚΑΛΟΣ)
Dlatego proszę pana uprzejmie i pięknie nie o prze-
jawy współczesnego

(Mélange adultère de tout
De la fortune e pas le sous
De l'énergie et pas de force
La liberté mais une en torse
De l'idée et pas une idée.
.....

TRISTAN CORBIERE.)

poziomu umnictwa krytycznego

(Schermo di savere e de ricchezza
De nobilitate e ancor di prodezza,
Vale mente ni colpi di costei
Ed ancor non si trouova contral lei
O lectore! neuno argumento.

MOZAIKA KATEDRY W RAWENNIE.)

ale o emanację, jak Motonari-Hydeyoshi powie-
działby o Biegasie

春是英雄氣壯年

W nadziei, że Szanowny Pan, przebywając w No-
wym Jorku potrafi się skupić, skłębic i pogłębic
(*a beau mentir, qui vient de loin. Leon BLOÏ.*)
zostają z szacunkiem Zenon Przesmycki.

Cóż tedy dziwnego, że studium St. Lacka p. t.
HIPOKRYZYJA ABSTRAKCYNEI BRYŁY (Pan
Biegas) zaczynało się podobnymi akordami:

:Marzyciel, plastyk „Nieświadomy“ stosownie do
swej natury, idei (kto jeszcze dziś o tem mówi)
jest naprzemian otoczeniem i dniem wczorajszym
(Patos!) lub sobą, wszystko jedno nawet nierze-
czywistością lub cieniem rzuconym „na ekran“
Czasu. Rzeczywistość ma zawsze za wroga, bo
rzeczywistość to śmierć, to Jedność (jak mówią)
w języku bieżącym, sytuacja, Słowo, woła (!). Ar-
tysta, posąg unicestwiający się dostrzeże niedorze-
czną grę swej fatalności, ustanowi panem swego
istnienia Uśmiech, znaczy zgodę, wojnę. Zacznie
wyszukiwać w każdym drgnieniu „niedorzeczność“
tego drgnienia i swego wyszukiwania. Plastyk wtedy
zamienia się hipokrytycznie na artystę pijanego
połowicznością, Która drzemie, a tworzenie arty-
styczne odmawia urzeczywistnienia ideału, okazuje
się Zamykaniem oczu, ale na to niema rady; umrzeć
(współcześni są Wygodniejsi) także jest produkcją,
najwyższą produkcją, improduktywizmem celów
i barw wczorajszych. Plastyk, bóg osobisty w atmo-
sferze bohaterskiej przechodzi w dziedzinę mądro-
ści Absolutnej (Chochoł z „Wesela“ Wyspiańskiego),
którą obiektywniej patrzy na tamtych zboczenia
(wiedzące w metaforze), w świecie pozamysłowym
więc w materji (Dante). Produkcja z widokiem na
nieskończoność, odwrotność, bezpowrotność (i inne
jeszcze podobne wyrazy) warunkowana życiem
(wszak absurdem), które nigdy chyba nie istniało,
jak tylko bezimiennie. Przez śmierć nie należy (znów
rozumieć błogości nie należy) wogóle nic rozu-
mieć, lecz moment, w którym człowiek się rodzi.
Napoleon-pustelnik, Chłop-marzenie, duch, siła, nie-
moc, Potęga! Dlatego plastyka tragiczna, czyli tra-
gizm plastyki jest możliwością Idei urzeczywistnie-
nia i urzeczywistnieniem możliwości idei i ideał
Urzeczywistnienia możliwości. Plastyk, nihilista, Na-
poleon, Chłop, pustelnik odwrócony od hałasu dnia,
mającego drugą twarz, której na imię Sposobność,
rzuca się w objęcia Sposobności, pomnażając tylko
swoje gesty, ale czy może on sam mieć drugą
twarz, kiedy na ten temat wogóle śpi? (*Herod.
A Tragedy. London 1901. John Lane*). Pytanie
raczej sceptyczne, choć kto teraz mówi o metafizy-
czne nonsensu, kiedy i Napoleon był tylko Chimerą
w chimerze, a rozwiązując ideowo problem pla-

styki, tę jego niedorzeczność tj. problemu materyłu dramatycznego bez t. zw. łez i t. zw. załamania rąk bez względu, czy mu na imię „blonde Bestie“ czy „bohater teatru“, cień lub *grandizios della eccellenza*, tak mówić można bez końca. W tym wypadku (ostatnim, nie pierwszym, panie Struve!), w tym *doloroso passo*, w terażniejszości to psychologia mas, tłum, eksplodująca błyskawicznie, groteskowo (Romantyzm, Katastrofa na Martynice), a czytelnik, widz, bohater (hehehe) zwisa w powietrzu ciężarem absurdu... A piękno stoi leżące wesoło płacze! Pan Biegas... itd. itd.

Meander Felicyana z Warszawy o Wincentym Pro roku Poszczebanowskim:

Żeś szat z purpury i chryzmatu
Mędrca wyzbywszy, aby z światu
Współczesnych zyszczeń wpiersz słomianą
Krzyczał w gromadę rozkrzyczaną
Runiczne słowa polskich świętych
Fałszem — to pomnij, że na głazie
Historji pośród imion rzuńniętych
Krwi rylcem braknie twego plazie
I orle, ryneków pustelniku,
Imienia! Bówiem z elleuteryi
Platońskiej wyżyn zszedłeś w krzyku
Do abstynenckich fanaberyi.

ALLEMAŃSKIEGO »BAŃKA O GEBETHNE-
RACH I WOLFACH«.

Koło pewnego folwarku,
W którym w pogwarku
Rechoczym swinie
Żywot przy swojskiej zwierzynie
Pędziły, osłach i kozach,
Psach na powrozach,
Koniach spętanych,
Kotach na dachu,
Zazulach centkowanyc
Figlarnie i marnie,
Wśród służby strachu
Tresowanym Pegazie,
Gołębciach w kastelu na słupie,
Karpiach ległych na jazie.

W bliskim lesie w kupie
Swędrały się odyńce.

Wilki i lisy,
Inne odmieńce,
Ba, nawet bisy.

I pod folwark coraz śmielej
Mimo słynnej okrutności
Starego Grzeli

Osmielaly się podchodzić
Dzikie swinie i domowe
Zdrowe, tuczne, z tuczności
Dumne zwodzić

W te argumenty:

Przeklęty Grzela!

Tuczy Was w tym folwarku

Bydłeta warchlate

Nierogate, brudne, smrodne,

By sprzedać na jarmarku

Za pieniądże godne

Filisteryi bylejakiej,

A to taki a owaki,

A to zdrajca

Gorszy od Nogajca

Ten Grzela.

...Psy wściekłe strzela,

...Osłom jarzmo kładzie,

...Konie kulatę morduje,

...Z krowiarką w zwadzie,

Krowiarnię w pacht ustępuje,

...Z owiec wełnę strzyże,

...Karpie łapie chyże,

...Gołębiami w cieście częstuje

Swych gości,

Irywalnych jegomości,

...A zaś Pegaza tak wnet utoczy,

Że Pegaz tłuszczeniem zboczy.

Czas przelamać kartel Grzeli,

Niechże z Was się kto osmielei

Opuścić ten folwark. Przecie

W innym też i dach nad głową,

Dobre słowo, sieczkę, siano

Znajdzie i baty co rano.

Grzela szalbierz, oszust, złodziej

Obróże kładzie na pyski,

Ciągnie z was miliardne zyski

Za krwawicę wasz dobrodziej.

To rozumu aberracja

Siedzi u Grzeli w niewoli.

*Czy was to swinie nie boli,
Nie wstydzisz, nie pali, nie gryzie
Mieć w życiu pozycję chmyzie?
...Racya! Racya! Racya! Racya!
Ale doświadczenie uczy
U Grzeli jak w Paradyzie,
Bo Grzela najlepiej tuczy,
Zresztą pal licho, kto kradnie,
Byle porechotać składnie,
W potomności mieć swą kartę:
Evviva l'arte!
I uparte bydłęta w swej argumentacji
W obronie Grzeli
I jego systemu tuczenia kierdeli
I jego autokracji wiele mieć musiały racyi,
Kiedy niewiele upłynęło czasu
Jak z lasu
I z folwarków okolicznych
Z Pacanowa, Gdowa, Liszek, Mysikiszek
I bez kryzysów psychicznych
Zcichca luzem, poczem w kilka
Szły na folwark Grzeli kornie
Rude lisy i szaraki
I sarenki białopiersne!
I szła też samica wilka
Zkorniałego, odyńce potworne
I krwawopyskie warchlaki,
Nawet żubry rudosiersne!
I szedł pomruk między bydło:
Grzela znowu nie straszyciło,
Złodziej! No, lecz cóż to szkodzi,
Zresztą kto teraz nie kradnie?
Lecz przynajmniej nas utuczy,
Dobrze sprzeda! To coś warte...
No i z zaliczką nie zwłóczy,
Byle porechotać ładnie
Evviva l'arte!*

Pan Spasowicz nie uznaje talentu Wyspiańskiego jako stylizatora historyzofii, japońskiego mistyka i fantasty języka z Bronowic — pan Chmielowski nie uznaje talentu Przybyszewskiego jako arystokraty gustów, egoisty społecznego, anarchisty etycznego i dyabolika w erotyce... pan Tarnowski nie uznaje talentu Żeromskiego jako notorycznego maso-sona, socjal-demokraty, kolektywisty... darwinisty...

dekabrysty... członka Narodnej Woli... wolnomularza... Irridenty...

X. biskup Niedziałkowski nie uznaje talentów pp. Spasowicza, Chmielowskiego, Tarnowskiego.

Ojciec Świętobliwy Leon XIII. nie uznaje talentu X. biskupa Niedziałkowskiego.

Ja nie uznaję talentu lirycznego Ojca Świętobliwego.

Powieść, tę literaturę rasy niższej (według Lapouge'a), nawet najlepszą, czyta się w naszych czasach najwyżej raz. Renana, Taina, Carlyla, Emersona, Patera, Muthera, Berensona, Sizeranna, Maeterlincka można czytać wiele, wiele razy.

Ale jakżeż na imię, powiedzcie mi, temu bliźniemu, który prof. Chmielowskiego literaturę przeczytał do końca?...

Bałwochwalcami mogą być już tylko Warszawiacy. Przykładem ci panowie barbarzyńcy, którzy „w imieniu ludzkości“ składali „dziękczynny hołd“ telegraficzny „myślicielowi“ — H. Sienkiewiczowi.

Genialny batalista otrzymawszy ten telegram zbladł z irytacji i odesłał go zmieniawszy adres... Julianowi Ochorowiczowi.

Poeci to są konfekcyoniści Prawdy. Ale ponieważ Prawda najczęściej lubi pokazywać się nagą, dlatego krawcy natchnieni, nadworni dostawcy szkarlatu i gronostaju tak często przymierają z głodu.

I nawet względem zresztą wcale europejskiej umysłowości pana Ludomira Germana da się niestety zastosować bezlitosne powiedzenie *made in Lwów*, zamiast *made in German*.

A jednak wybaczcie mi antyczność. Mnie jeszcze razi takie zdanie znakomitego krytyka jak: „wyrafinowanie subtelne vibracje niezwykle wykwińskiego światła, rzucone po wirtuozosku pańskim pędzlem ohydnie brudną sierć świń ryjących pyskami w kale gnojówki na pysznym płótnie naszego polskiego Courbeta pana X...”

Interpelowano mnie raz jako młodego krytyka, „impressyonistę z Galicyi“, czem motywuję olbrzymie powodzenie mego „Małpiego Zwierciadła“, a słaby pokup i rozgłos mych „Studyów i Szkiców“. Oto i łatwo zrozumiałe. Zawsze w menażeryach dziesięć razy tyle widzów stoi przed klatką z małpami onanizującymi się rubasznie i krotochwilnie, jak przed klatką orłów zeszywniałych na drążkach z wściekłości, że im odebrano wolność, lub sennych po dniach desperacji, a wiecznie dumnych...

Że starość urzeczywistnia pięknie sny młodości, o to prawda, istotna prawda. Mój kolega Swift w młodości budował dom obłąkanych, a na starość np. w nim zamieszkał. Mój kolega Verlaine biedny Lelian w młodości myśli okuwał w złote strofy, a na kilka dni przed śmiercią malował złotą farbą brzegi łóżka szpitalnego, stołu, szafy, litery w książkach...

O jakżeż mało w Polsce współczesnej jest ludzi pióra, od którychby można było nie nauczyć się, jak nie należy krytykować.

Zaiste jeżeli już krytyka literacka bracia ma być artystyczną, ma być konsekwencyą sztuk i koroną sztuk, trzeba jej, by jak najwięcej wchłonęła powietrza nihilistycznego. Ale jeżeli jak dotychczas będzie z atmosfery duchowej narodu wchłaniała oportunistyczną etykę burżuazyjną, obskurantyzm klerykalny, lojalność tradycjom, apatyczny wstręt do ryzyka, przesady, a tchórzostwo przed kapryсами wielkich, to lepiej przywiązać jej kamień młyński do szyi i wrzucić w odmętę nieczytania.

Filisterya wyśmiewana na krotofilach M. Bałuckiego wychodziła z teatrów ostatecznie uśmiechniona, ucieszona i przekonana, że bądź-co-bądź jej światłokrąg zasad zapatrywań, idei, konwenansów, umiłowań, kultów jest najjaśniejszy, najhygieniczny i jedyny w tych warunkach lokalnych, jakie dają Pipidówka, Pacanów, Mościska. Jak Labiche'a w Paryżu za Moliera, tak Bałuckiego w Krakowie uważano za Fredrę, „Dom otwarty“ stawiano obok

„Podróży pana Perrichon“, a tę porównywano z Świętoszkiem.

Przyszedł młody krytyk Ferdynand Brunetiere, obecnie cierpiący na katolicki marazm i zagasił wówczas ognisko sławy Labiche'a i zarznął go. Teraz przyszli młodzi krytycy i zgasili ognisko sławy Brunetiera i zarznął go. A zasię na nas, choćby się nam i tych młodych krytyków zgasić udało, przyjdą młodszy i zarzną nas.

Bowiem dla ludzi z końca XX. wieku my będziemy Bałuckim z Pipidówki, Mazanowskim z Mościsk i Flachami ze Lwowa.

Tłómaczenia są jak kobiety: jeśli piękne, to niewierne, jeśli wierne, to pewnie nie piękne. Zbiór tłumaczeń wydanych przez p. Bertolda-Merlina Menkesa p. t. „Profile i Medale“ czy „Pastele i Perspektywy“, czy coś podobnego sensacyjnie-secesyjnego z nadto jest wiernym, aby był pięknym. Jeszcze na pochwałę dodać się godzi, że w stylu zbioru ten ogromnie przypomina młodych krytyków galicyjskich, pana Stena, Cybulskiego, Feldmana. W wyborze tematów rasowa arogancja pchnęła młodego utalentowanego fryzyerzyka aż do... Amiela.

Nowy zbiorek obiecującego chłopczyzny obejmuje podobno następujące tematy: Max Nordau, Teodor Herzl, Vauvenarguez, Jerzy Brandes, Lilien, Młody Chrzanów (E. Bieder, Baruch Leśmian, Ostap Katzenellenbogenundkeinende, Ludwik Sten), Sasche Schneider, Emerson, Wachtel, Miccio Horszowski, Sören Kiergegaard.

Miejmy nadzieję, że inna jaka essaysista tak np. p. Malwina Posner-Garfein przetłumaczy ten II. zbiorzek, rewanzując się Niemcom znowu dla pism: Zeit, Gesellschaft, Neue Deutsche Rundschau, Wiener Rundschau, Magazin für Litteratur, Aus fremden Zungen itd., itd.

Jest podanie, że Pytagorejczyk Parmoniscus stracił zdolność do radości, śmiech w jaskini Trefońskiej i odzyskał go dopiero w Delos na widok kłosa drewnianego, przedstawiającego boginię Letę.

Ja odczytałem się śmiechu, przeczytawszy powieść Berenta: „Próchno“.

Mam nadzieję odzyskać śmiech napowrót, kiedy

nasze drewniane kłocę autorytety krytyczne zabiorą się do pisania o „Próchnie“.

Wzruszającymi typami artystów są tylko artyści upadli, nie twórcy. Każda produktywność, to już pewien tylko stopień przystosowania się. Produktorzy piękna czasem stają się handlarzami, handlarze czasem szalbierzami. A jak okropnie prostytuować się mogą artyści twórcy, o tem można się przekonać n. p. w Krakowie, w onczas, kiedy do miasta przyjeżdża n. p. jakiś mecenas sztuki hrabia z Wilna, książę z Poznańskiego, żyd z Warszawy, minister Oświaty z Wiednia. *Difficile est caricaturam non scribere w onczas.*

Ktoś z przyjaciół Sztuki radził pewnego razu prof. Axentowiczowi, aby zabrał się do napisania dzieła, któreby dla nowego pokolenia artystów było tem, czem dla Gierymskich, Pruszkowskich, Chełmońskich—Witkiewicza: „Sztuka i krytyka“, któreby jak się ów pan wyrażał, motywowało tendencje, usprawiedliwiało twórczość nowych ludzi w malarstwie...
...No dobrze, odparł silnie zakłopotany profesor, czemżeż jednak usprawiedliwię np. to, że taki olbrzym jak Stanisławski maluje tak maleńkie pejzaże, kiedy mały Matejko malował...

Kiedy radca szkolny i literat p. Ludomir German zabierał się do pisania libretta dla Goplany kolegi szkolnego Wł. Żeleńskiego, ukazała mu się w odpowiednich obłokach nad biurkiem zjawa tęgiej brunety z przepaską na czole, koroną na pysznych włosach, z groźnym mieczem w dłoni: Balladyna. Pan German zadrżał nerwowo.

...Ludomirze! ostaw ty mnie! jęknęła grobowym głosem zjawa.

Pan German początkowo milczał, ale wnet przyszedł do siebie i począł się usprawiedliwiać, że Żeleński go prosił, że on już pisać zaczął, że już dzienniki to ogłosiły, że zresztą kto wie, czy tak źle to libretto znowu wypadnie.

...Ludomirze! Ostaw Ty mnie! wtórym jękiem zagroziła zjawa.

...Mogę zresztą zrobić pewną koncesyję, jeżeli tego

wymagasz Najjaśniejsza Pani. Opera może nosić tytuł: Alina.

...Ludomirze! Ostaw Ty Alinę! huknęła tubalnie królewska bruneta.

...To zresztą mogę dać pokój Waszej dostojnej rodzinie. Opera będzie się nazywała Goplana!

I tu stało się coś strasznego, o czem jeszcze dziś ze zgrozą opowiada p. German. Balladyna podniosła do góry olbrzymi miecz i z całym rozmachem przecięła nim biurko p. radcy tak, że na ziemię upadły strzaskane dwa biusta gipsowe: Juliusza Słowackiego i Agenora hr. Gołuchowskiego.

Brzydki! Czarny charakter! Balladyna!

W nakładem i sumptem Michała hr. Tyszkiewicza szczerze „duchami wypełnionej łodzi“ pod nazwą: Melitele zawiesiła redakcja ku czci Henryka Sienkiewicza także Dzwony pp. Adamowicza i Gustawa Daniłowskiego.

Drugi brzmi następująco:

Rozkołysany dzwon cudnej roboty
Chwiał się w powietrzu, a w słońcu promieniu
Błyskał, choć z brązu, jak gdyby był złoty,
A na spíž czerniał, gdy znalazł się w cieniu,
Niez mordowanie powtarzał obroty.
Podziw się szerzył wśród patrzących ludzi,
Że dzwon tak wielki, a jednak nie budzi
Żadnych porywów, marzeń, ni tęsknoty.
Próżno słuch pręży; w powietrzu się trzyma
Jeno wark głuchy, zresztą żadna nuta
Skłóconej sfery dźwiękiem nie przewierca.
Co to jest? Czemu nie sły chać olbrzyma?
Lćniąca powłoka misternie wykuta
Była, lecz wewnątrz brakowało serca.

...Ty zapewne myślisz, zwrócił mi uwagę mój przyjaciel, że pogoliwszy tak i podrapawszy wszystkich ludzi pióra w *La Pologne contemporaine*, sam tylko ostaniesz się z swą lwią grzywą i lwim pazurem?
...Nie mój drogi, odparłem, uważam siebie tylko za dompteura w klatce literatury polskiej, rodzimej arce Noego.. Małpom zdzieram lwie maski, osłom operuję nadgniotki, niedźwiedzie ucę tańczyć, wilki oduczam wycia, hyenom odbieram ścierwo, sarny całuję w oczka, krokodyle rozsiewam do łez, słoniom wydzieram kość słoniową, żyrafom szyję

wiązę w supeł, aby je upodobnić do żeber, nosorożcom wytykam śmieszność, gdy chcą udawać antylopy, ale wierz mi i mnie Łada (łada, poprawka zecera), mały reptil ukąsić przecież może... I oto naprzykład ślad ukąszenia mój drogi. I przyjacielowi pokazałem piętę od bucika.

Pewien obywatel ziemski z Krakowskiego, poseł na Sejm, członek Izby Rolniczej, Towarz. Wyścigów i t. p. dostanie może w r. 1910 list od pewnego obywatela ziemskiego z „gubernii Warszawskiej“ i członka Towarz. Kred. i może kolegi z Homburga czy może Dorpatu, w którym to liście datowanym może z kwietnia, będzie może taki fragment, może prawdopodobny...

...A wy tam mój Fransie pewnie o całej aferze macie najfatalniejsze sensacje i nie wiecie, jaki niemożliwy szok wywołało to nietylko w towarzystwie, ale w całym społeczeństwie, nawet w całej Varsovie. Jeszcze teraz nie umiemy dosłownie oddychać po pierwsze z zadowolenia i radości, a po drugie z smutku po ś. p. Podfilipie. Opiszę Ci mój Marszałeczku i cały spektakl w klubie łowieckim i wszystko co poprzedzało i co nastąpiło. Jak ci wiadomo, Lew Płoszowski stracił wspaniałą grzywę, to jest w ostatnich latach fatalnie wyłysiał, a to co zostało z włosów, osiwiło. Znów się przeliczył. Zwaliła im się na głowę świekra, prawdziwy smok biblijny ta stara Kruppowa, sucha wychudła protestancka wybacza... klacz, niemożliwie arogancka w stosunkach, niemiecka mieszcanka, brrr... Siedziała u nich po kilka miesięcy w roku w Płoszowie, gdzie postawiono pałac, no niech się schowają Gouldy z swą budą w Trouville i Carneggie i wszystkie Rotszyldy i Włochy. Emma z Kruppów Płoszowska, tak zwana u nas „żona starego kawalera“ ciągle mu chorowała i chorowała, a on, jak mi opowiadano, nie wychodził wcale z swych trzech saloników i oranżeryi w lewym skrzydle pałacu, ale jak zwykle robił o sobie aforyzmy i spisywał, sadzał, przesadzał, podlewał i chuchał swoje tulipany (to jest obecnie jego folie) i zanudzał się poprostu na śmierć, aż do siwizny. Mówią nawet, że pił, mówią nawet coś o chłopczykach, rozumiesz?, ale wątpię. U nas i w Warszawie jak kto blasée bogato się ożeni, a nie ma stajni wyścigowej, zaraz mówią, że karty, albo chłopczyki. Biedny naród! jakby powiedział Karol Zbązki, albo

Stanisław Tarnowski. Mnie osobiście bardzo żał Leona, bo finalnie godny pożałowania teraz, wziął te dwanaście milionów marek, no i cóż mu z tego..., nudzi się już własnym znudzeniem, jak mi mówił i jedyną jego zasługą (jak chyba ironizował) jest dochowanie jednej orchidei bardzo rzadkiej, jakiejś Paleonophis o fioletowo srebrnym odcieniu koloru i jakimś labellum co ma być zupełnie podobne do... no wybacz do męskiego organu! Na to zeszedł!! Na tych kwiatkach i scenach z świekrą Excellenz Commerzienrätthin Krupp upływały mu lata. Wiesz dalej, że w tym roku na zimę osiedli Płoszowscy w Warszawie, wiesz o tym balu empirowym u nich z dwoma następcami tronu, których sprowadzenie było wyłączną zasługą czy machinacją starego Kruppa, który jak córka jest ciągle jeszcze zachowany w zięciu, wiesz chyba jeszcze o tym dowcipie, jaki ukuła Warszawa z tego balu, że Płoszowski przedstawiając młodego księcia Essex swemu teściowi mówił: duc d'Essex, a swego teścia księcia: duc d'Essen. No ale teraz do samej afery. Kiedy więc oficjalnie już stało się wiadomem, że Wielki Książę Hilaryon zostaje gubernatorem warszawskim, a nie jest wykluczoną możliwością wyodrębnienia Królestwa i tronu w Warszawie, rozgorączkowanie umysłów doszło do zawrotnego punktu — jak się to u Was mówi. Rozdawano już ministerstwa: Książę Zbarazki ministrem komunikacji, radca Połaniecki handlu, Spasowicz oświaty, M. Radziwił policji, Henryk Bloch wojny, Karol Zbązki spraw wewnętrznych, biedny Leon oczywiście został bez teki, choć go popierał sam Sienkiewicz, któremu znowu obiecywano tytuł księcia Oblęgorku i... ordynację... Jak widzisz, bawiliśmy się świetnie wszyscy, tylko Leon nawet wtedy ziewał w duszy i jeszcze siwiał, jak mówił z irytacji, że mu wspaniały Dendrobium wysechł, a miał być purpurowy i podobny do... organu płciowego kobiet... Na to zeszedł! Na to zeszedł! Biedny naród! jakby powiedział Zbązki lub Tarnowski. Wyobraź sobie tedy nasze zdziwienie na tę niespodziewaną awanturę w Klubie. Stało nas przy bufecie kilku, kilku ruskich i rozmawialiśmy właśnie z wielkiem ożywieniem o dobrej nowinie z Petersburga. Szambelan Podfilip oczywiście w siódmym niebie, ogromnie echauffe, rumiany, kontent peroruje pułkownikowi hr. Klinckowström, że to jest całe rozwiązanie kwestyi polskorosyjskiej, to cała ugoda, ten przyszły dwór kró-

Mirkochańskim, ale gdy córka i zięć wyłapali raz mamę na wrzącym uczynku z siedemnastoletnim Kotkiem, córka mszcząc się na mamie za odkrycie bezlitosne afery z kelnerem, zmusza szwagra dziecko-siostrzeńca do legalnego poślubienia cioci starszki.

Młodziutkie Kociątko komponuje odtąd jednym palcem operetki i tylko gdzie może zgryźliwie wróży dzieciom swego brata rychłą śmierć, gdyż z powodu stosunku brata z heterą Czarnowską, dzieciom książęcym z uszu się leje i szyjki trzeba wycinać itp.

Najmłodszy Mirkochański, młode chłopię, silnie myzogeniczne zamyka się po gabinetach z amerykańskimi dżokejami i trzeba aż słynnej Piórkowskiej, utalentowanej hetery, która mu się pod jego nieobecność do łóżka w sypialni ukrywa, aby popędy książątka skierować na właściwe tory ogólnoludzkie...

Obok gigantycznej figury ordynatowej Podbyczyńskiej księżnej Mirkochańskiej wyrasta jak olbrzymi pasożyt na dębie drzewa herbowego pan Pnącz „dziadunio“, siwy gentleman, który gdzieś niegdyś był berajterem cyrkowym, poczem kupceciwą w tinglach, poczem ajentem policyjnym, akcyonaryuszem pewnego domu publicznego, wreszcie plenipotentem ordynatowej Podbyczyńskiej, opiekunem, wychowawcą jej synów i córek i patronem obu rodzin feudalnych Podbyczyńskich i Mirkochańskich. „Dziadunio“ Pnącz, łudzaco podobny do Mohorta „Pracht-exemplar“ kryminalistyki europejskiej“, patryarchalnie siwiuteńki gołąbek-totrzysko według modelów z Whitechapel, żyje skromnie ze swoimi dwoma czternastoletnimi metresami (które świat nazywa wnuczkami) jeździ tylko tramwayami, dwa razy miesięcznie przystępuje do Sakramentu Pokuty, modli się przy wszystkich, okazjach żarliwie i dwa razy do roku odwiedza w Zakładzie koniczek na Placu Teatralnym siostrę swą... księżną Angelikę (znaną lat temu trzydzieści słynną Angelę Angelus woltżyerkę paryską, recte hrabiankę Zofię Wiśniowiecką). „Dziadunio“ Pnącz o orlim nosie Burbonów z mamy restauratorki z 31 roku, ojcowskiem okiem i sercem opiekuje się młodym Ordynatem Marcysiem Podbyczyńskim. Odciąga go od komandytowej spółki szulerskiej z nieograniczoną poręką, na której czele stoi ogólnie szanowany

szuler, solidny oszust hrabia Koronowski, słynny czystym kryształnym głosem tenorowym, europejską *prestige* i systematycznym ogrywaniem i ograbianiem arcyświętej pamięci margrabiego Żleżpolskiego. „Dziadunio“ Pnącz najpobożniejszy arystokrata w Polsce z ojca markiera bilardowego i żydka odciąga młodego hrabiego Marcysia od wesołych dziewic Syreniego grodu, od aktorki Moszczówny, która się truje, od młodej ordynatowej Reverowej, odciąga go od wszystkich hrabin i księżn, które nań polują, a pozwala mu tylko na jedną rozwódkę, której choroba oczu prześlicznych nadaje coś z piękna Maeterlinkowskich kreacyi...

Obok ordynatowej Podbyczyńskiej księżnej Mirkochańskiej, obok „dziadunia“ Pnącza na pierwszy plan wysuwa się trzecia olbrzymia postać „papy Kawskiego“. Ojciec i pierwszy kochanek hetery teatralnej, Kawski na Kawkach, szlachcic wysadzony na bruk z twarzą czerstwą, dobroduszną i sumiastym wąsem przewodzi szerokiemu klubowi „Przyjacieli chłopczyków“. Papa Kawski jest rzadcą domów OO. Redemptorystów i głównym kasyerem swej córki, przyjmującej sześć wizyt męzkich na dobę, wskutek czego uczucia ojca często kollidują w nim z ideami i hasłami prezesa klubu „Przyjaciela chłopczyków“, a plusk wody w sypialni córki często kolliduje z szeptem modlitwy bogobojnego rządu domów OO. Redemptorystów. Córusia na głupich chłopczykach wyłuskuje setki i tysiące rubli, butony i markizy, a papa szlagon starej daty rujnuje córkę na chłopczyków. Jednym z tych chłopczyków faworytów papy Kawskiego jest młody blondynek, jeden z synków hrabianki Talii Reverowej, panny cierpiącej na polyandryzm itd., itd. Stąd powstaje cały szereg kolizji dość zawikłanych, ale rodzimych, w które miesza się cały szereg figur drugorzędnych. A więc ordynatowa Gemcia Reverowa, bratowa nielegalnego autora pamiętnika, mająca oficjalnie stosunek z Wielkim Księciem Domicyanem, a nieoficjalnie z ordynatem Marcysiem i jego dobrze tresowaną męską służbą, co wszystko ratuje od ruiny nadwątloną fortunę Reverów. A więc słynna hrabianka Talia Reverówna, siostra starej księżnej Mirkochańskiej i ordynata Revery, zwanego „mądrym kłownem“ w przeciwstawieniu do „głupiego Augusta“ z cyrków, popularna w kraju już choćby z tego powodu, że pewnego razu została

śmiertelnie potłuczoną kijami i pięściami na wizycie w domu publicznym za to, że ośmieliła się zrobić złośliwą choć skromną uwagą, o ile więcej zarabiają obecnie damy z arystokracji od kokot zwyczajnych. Oto potwornie karłowata baronowa Spatz, z domu Sara Lilienkron, primo voto hrabina Podbyczyńska, opasła jałowica, konwulsyjnie skąpa, słynnie lubieżna maskara, którą familia, chcąc ustrzedz przed komizmem mariażu z młodzieńczym spekulantem choć szulerem baronem Spatzem straszy wyciągniętą z grobów trumną nieboszczyka hrabiego Podbyczyńskiego. Itd. itd.

Oto ordynat Revera udowadnia ordynatowi Podbyczyńskiemu, że synek jego żony to Podbyczyński, nie Revera, oto księciu kompozytorowi Mirkochańskiemu nagle na turfie zaczynają wypadać wszystkie zęby ze szczęki, a biedaczysko do żony sprowadza trzech specjalistów z Berlina, oto ordynatowa Gemcia Reverowa dostaje dla męża 300.000 rubli od drugiego ordynata, a ten sam papie księciu daje tytułem ciszy i zgody 200.000 rubli na „nowe ząbki“ itd., itd. Wszystko w stylu coś nie coś Weysenhoffa, ale więcej Gaborieu'go i Pousoa du Teraila.

A kiedy raz urządzają amatorskie high-life przedstawienie cyrkowe na dochód podupadłych na zdrowiu kuplerów, wtedy księżna ordynatowa starszka Mirkochańska jeździ wyższą szkołę na kłacz, ordynat Revera zostaje kłownem, żongleruje któryś z Tarłów, mociują się dwaj Chodkiewicze i dwaj Wiśniowieccy, tresuje psy na arenie książę Zbaraski, a końcową pantominę reżyseruje Iwan Iwanowicz Knut...

Bezlitośne są te pamiętniki hrabiego Hamleta Koniępczolskiego w jedynym egzemplarzu mojego posiadania.

